

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 19 maja 1946 r.

Nr. 19 (25)

Jan Dobraczyński

ZNAKI CZASU

Można mówić, że i to już było. Można pisać z nutką politowania o „katastrofistach”, t. znaczy o takich ludziach co zwęszyli klape, a przecież nie wieją. Bo katastrofistami w potocznym znaczeniu tego słowa nie są naturalnie ci, którzy głośno owszem: i hurra, i byczo jest, i mamy się jak najlepiej, a cichutko toboły na płocy, żonę, kuzynki, ciotki, dzieci w garść i przedziutko — na stanowisko ko-

respondenta albo informatora prasowego lub po prostu do dyplomacji aż za wyspę Thule. Można i tak. Wedle gustu. Czy się jednak człowiek czuje katastrofistą czy też, nie, musi zdać sobie sprawę z tego, że są „znaki na ziemi i na niebie”, o których się już nie tylko filozofom, ale i jasnowidzom, Ossowieckim czy Nosradamusom nie śniło. Zapatrzeni i zasłuchani w to, co może być jutro, zapominamy zupełnie o tym, co niewątpliwie będzie pojutrze.

Napisał Zagórski w „Kuznicy” wdzięczny i półpoetycki poemat o przekształcaniu się świata pod wpływem wynalazku „radaru”. Słusznie. Aparat, który pozwala odnaleźć rzecz niewidzianą, wydaje się czymś równie fantastycznym, a jednocześnie rewolucjonizującym świat, jak, dajmy na to, latający dywan. A penicylina — rodzaj lekarskiego panaceum — czy rzecz nie zakrawa na bajkę? Ale mówimy tylko o rzeczach popularnie znanych, zaś przez wojnę spopularyzowanych. Sześćdziesiąt lat abstynencji od widowisk rozrywkowych kazała nam zapomnieć o filmach dźwiękowo - barwno - wypukłych, o telewizji na użytek każdego konsumenta, o autach, do których doczepiane są skrzydła i ogon (konkretną fotografię takiej zabawki widziałem w jednym z ostatnich numerów „London News”), ba — wreszcie o cudzie nad cudami: o bombie atomowej.

Nie tak znów dawno, bo coś w latach 20-tych staruszek von Boszkowski, wiódąc dyskurs z A. Einsteinem usłyszał od niego, że „według teorii względności istnieje między masą, energią i prędkością światła związek, dający się przedstawić rachunkiem...”. Wynika zeń, że przy rozbięciu atomu wyzwolona energia mierzy się jednostką pomnożoną przez prędkość światła do kwadratu, czyli dziesięć do potęgi 21-ej. Z kilograma węgla można otrzymać 20 bilionów kaloryj. Tylko, że — zaznaczył Einstein: — „gdybyśmy doszli do techniki omawianego rodzaju, to przypuszczalnie nie było by możliwości jakiegokolwiek działania regulującego. Jest rzeczą uludną mówić, że chcemy tylko pewną część owych 20 bilionów kaloryj wyzyskać i byłibyśmy bardzo radzi, gdybyśmy zdołali owe 800 kaloryj dnia dzisiejszego powiększyć stekrotnie. Gdy bowiem — co niepodobna (w 1920 r. — moja uwaga) — rozetrzemy atomy, wówczas prawdopodobnie owe biliony wpadną na nas bez hamulca. Do takiego zadania ludzkość by nie dorosła... Nastałby dla nas wiek, wobec którego obecny wiek czarnego węgla trzeba by wielbić, jako złoty!”

Einstein wciąż jeszcze żyje a atomy zostały nie tylko rozbite, ale także ich rozkład został praktycznie zastosowany. W ciągu ubiegłego dwudziestolecia mówiło się wiele o bezbolesnej eutanazji nieuleczalnie chorych, przy tym inicjatorzy mieli łagodny gaz na myśli. Niemcy to wykorzystali — stąd zastosowanie „cyklonu”. Penicylina jest lekarstwem na wiele chorób, ale zastrzyk zabijający jest lekarstwem na wszystkie choroby...

Naturalnie, że to jest katastrofizm. Ale bądźmy, do licha, ludźmi a nie strusia-

mi! Powiedzmy sobie wyraźnie, że zabawa poszła za daleko. Aldous Huxley napisał zabawną książeczkę, której tytuł nie bez ironii zaczerpnął z pełnego zachwyty okrzyku Mirandy:

...O, cudny widoku!

Ileż tu istot wspaniałych! Jak pięknym jest ludzkie plemię! Świąć się nowy świecie,

Co nosisz taki ród!

(„Burza”, 5, 1).

Książka ta miała do niedawna jeszcze właściwość wywoływania torsji u czytających, oszołomionych perspektywami przyszłości. Dziś, sądząc, że może się wydać daleko mniej wstrząsająca, a nawet w pewnych partiach nieco naiwna. Posunęliśmy się niewątpliwie naprzód. Tym niemniej i tym bardziej trzeba stwierdzić, że zabawa poszła za daleko. Tylko, że odwrotu nie ma. Nie zamieni się „Vaugt-Sikorskiego” na latawca z papieru, a czołg na kariolkę. Jak nie wystarczy, o czyszcie burżuazyjnego wnętrza z burżuazyjnych mebli, by burżuj stał się człowiekiem, tak samo nie wystarczy przeniesie robotnika z ciemnej izby do luksusowo i higienicznie urządzonej świetlicy, by ten robotnik stał się czymś więcej niż burżujem. Błąd nie tkwi w „ludzie postępu” — bo postęp techniczny niewątpliwie istnieje. Błąd się zawiera w tym, że nie człowiek narzuca maszynie postęp, ale maszyna rozwija się sama i narzuca coraz większą szybkość człowiekowi.

Nasz wiek biologiczny goni maszynę. Na nic nie mamy czasu, nigdy się nie przestajemy śpieszyć. Kontemplacyjne myślenie stało się luksusem. Myślimy czy piszemy zrywami — stąd pełno banału i odkrywania rzeczy odkrytych — gorzej nawet — pogrzebanych. Najtęższe głowy wołają o syntezę myślenia i o myślenie filozoficzne. Taki Carrel — Humboldt 20-go wieku — dochodzi do przekonania, że medycyna to nie tylko macanie pulsu i zagładanie w gardło (Na to wyrwie się naturalnie w „Kuznicy” p. Paweł Herz z powiedzeniem, że „ope-

Lesław M. Bartelski

MOTYW PASYJNY

Odchodzących w przeddzień Zmartwychwstania nikt nie kamieniował słowami pustymi, ale pełnymi pogardy.

W murach tlił się wolno pożar, a dzieci w matczyńskich rękach śniły w dymach o wielkim spokoju.

W tęczę wlekał strugami kolorów strumień czerwieni. Aby oczy zamknąć — widzieć rozległe płaszczyzny, po których skamieniali w ruchu prowadzili świat, w niepokoju ulicznym mężczyźni i niewiasty rzucali się z pięt.

Nie wystarczyło wziąć kij wystrugany z wierzby rosnącej przy drodze, aby w wędrówkę odejść krokiem nierównym tułaczy: na kolanach, z brodą między kolanami w ciemność, w której liczne światełka były zmyleniem znaków

i tak iść przed siebie, wiedząc jednak, że koniec przyjsć musi, choć nocą kształtów nie rozezna łatwo. A jednak szli i kiedy wazy kanałów odkrywały skrawki kolistego nieba — było niebem dla wielu pozostać na ziemi.

Takim płaczem serdecznym, gdy oczom druty koleczaste, gdy dłoń zamieniona w pięść grubiała nienawiścią i chleb zastygał w kamień — w takim płaczu odchodząc trudno było zobaczyć człowieka o oczach łagodnych.

Świat wydzierany rozpaczą rozpadał się w strzępy godzin i sekund. Chmury obrastały niebo i dym szary jak popiół z martwych. Modlitw było za mało, mówiono szeptem o jednym człowieku, że dzieci spojrzaniem ukrzyżował za boleść.

rowanie autorytetem Carrela jako uczonego... przypomina nam obliczone na umyśle maluczkich chwyt „Rycerza Niepokalanej”, reklamujące wiarę Pasteura...”. Można i tak. Oto niebezpieczne skutki złud „postępu”!

Zresztą także i H. Bergson, nawrócony na łożu śmierci, ale jeszcze zanim się nawrócił, pisał o modlitwie kontemplacyjnej i o życiu mistycznym jako o zjawiskach twórczych, wyrażających — nie chorobę i degenerację ale właśnie „zdrowienie i nieprzeciętnego intelektu, dające się bez trudu odkryć, wyrażające się w zamiłowaniu do działania, w zdolności przystosowywania się do okoliczności... w proroczej zdolności odróżniania możliwego od niemożliwego, w duchu prostoty, przewyciężającym wszelkie trudności...”

A taki Whitehead stawia całkiem rewelacyjną tezę (vide fragment w nr. 5/6 „Życia Literackiego”) powiada, że nauka europejska, po racjonalistycznym okresie średniowiecza weszła w stadium „buntu ducha historycznego” wyrażającego się „antyrealistycznym kierunkiem, opierającym się na naukowej wierze... Była to bardzo rozsądna reakcja, ale nie był to protest na korzyść rozumu”. Obecnie „postęp nauki osiągnął... punkt zwrotny. Trwałe podstawy fizyki załamały się; z drugiej strony po raz pierwszy psychologia wystąpiła jako równoważna z innymi dziedzinami nauki... Jakież jest sens mówienia o mechanistycznym wytłumaczeniu świata, jeżeli się nawet nie wie, co należy rozumieć przez ten mechanizm?

Miało by się ochotę zacytować cały fragment. Ponieważ jest jednak dostępny wszystkim, ograniczę się tylko do jednego jeszcze zdania: „Jeżeli nauka nie ma być mieszaniną hipotez stawianych ad hoc, to musi stać się filozoficzną, musi zdobyć się na całkowity krytycyzm w stosunku do swych podstaw”.

Wydaje mi się, że to są rzeczy całkowicie jasne: „postęp” — zachowajmy tę nazwę — osiągnął napięcie niebywałe, ale jednocześnie wiedza stwierdza, że czło-

wiek stracił zrozumienie swej istoty i stał się ofiarą złudzeń. Wyzwolone w okresie renesansu dwa pragnienia ludzkie — pragnienie wolności i pragnienie władania materią, dosięgły swego apogeum a jednocześnie swego fiaska. Człowiek porwany przez zdynamizowaną materię wie o niej mniej niż tak sądził, że wie poprzednio i nie jest dziś ani wolny ani też nie potrafi materii używać. Istnieje problem, którego zajęci problemami ad hoc — bardzo ważnymi a jednocześnie mało ważnymi — nie widzimy.

Co zrobić z nadmiarem n bilionów kalorii? Jeżeli my ich nie zatrudnimy, one nas zmiażdżą jak dwa razy dwa cztery. Bomba atomowa za parę lat w rękach murzyna ze środkowej Aryki zmieść może z równą dokładnością miasta europejskie, jak karabin maszynowy w rękach przysięgniętego przez „cywilizację” niemiecką dzikusa wymiatał mózgi z głów profesorów i uczonych. Sprawa nie jest ani prosta, ani łatwa. Naturalnie proste i łatwe jest powiedzenie: trzeba zmienić człowieka, trzeba go nauczyć panować nad rozbrykanymi bilionami kaloryj. Tylko że proces przemiany człowieka jest wolny, a „postęp” nie czeka i czekać nie będzie. Na tym poziomie szaleństwa, jakie cywilizacja ziemską osiągnęła, nie może być już mowy o czekaniu. Katastrofa wisi w powietrzu.

I nie ma lekarstwa? Są znaki czasu. Bo tymi znakami nie są „radar”, penicylina, bomba atomowa. Wynalazki te są następstwem gorączki twórczej, jaka opanowała świat. Znaki czasu są inne. Wypkione, mało znane, lekceważone, niedoceniane. Sto lat temu Hello miażdżył Voltaire’a, a wczytywał się w św. Teresę. Uważano, że oszalał. Voltaire był wtedy mistrzem, św. Teresa „nudną dewotką”. Czasy się zmieniły. Dziś Voltaire jest już dla wszystkich naiwnym bluźniercą, św. Teresa dla tych, co ją czytają, jedną z największych znawczyń duszy ludzkiej. Tak samo o niej mówi katolizujący Carrel i cynik Huxley. Znaki czasu są inne. Dobytą się nieoczekiwanie z tej nieznannej podskórnej warstwy, która jest tajemniczą własnością każdego człowieka, ale najczulsza jest u dziecka. Trzeba bowiem być bardzo prostym lub bardzo świadomym spraw życia, by odczuć, że od człowieka biegnie kabel w nieskończoność. Każdy człowiek odbiera fale z tamtego kierunku, ale nie każdy porafi na nie swój aparat ducha nastawić. Trzeba wiary dziecka lub ofiary dorosłego.

I wtedy aparat gra. Często dzwoni, gdy trzeba, cichnie, słabnie, gdy potrzeba wydaje się mniejsza.

Mogą sobie ci i tamci stroić z tego drwiny, nie przeszkodzi to, że znaki czasu są dziś nieoczekiwanie częste. Rozlegają się ze wszystkich stron. Gdzieś w Portugalii, w górskiej wsi Fatima, ukazuje się prostym dzieciom Najświętsza Panna*). Jeszcze strumień łask w Lourdes bije z całą siłą, jeszcze nie jest do głębi poznana tajemnica le Salette, a już w Fatimie dowiadujemy się o **miłosierdziu** Niepokalanej Serca Maryi Panny. To samo ostatnio gdzieś w Belgii. Jest coś aż niepokojącego w tej gwałtowności wołania. Pod Krakowem, w Łagiewnikach, umiera w klasztorze Magdalenek nikomu nieznaną siostrą Faustyną. Ci cha, nieuczona siostra. Tymczasem to ona jest głosem, który wzywa do kultu **miłosierdzia**. Serca Jezusowego. Obrazy, namalowane zgodnie z jej wskazówkami

*) Ciekawych odsłonię do doskonałego artykułu Ks. prof. E. Dąbrowskiego w „Kalendarzu Warszawskim” na 1946 r.

są dziś w każdym kościele. Koronki i litanie są wszystkim znane. W Kaliszu odżywa nagle z niepoohamowaną siłą kult świętego Józefa — Józefa miłosiernego. Wołania są gwałtowne a także wszystkie odzywają się na jeden ton: **miłosierdzia**. Miłosierdzie! Na przeciw **rozpaczy** bezradności ludzkiej wychodzi **miłosierdzie** Boże.

To nie znaczy jednak weale, że miłosierdzie ma uratować świat bez pracy ludzi i bez pracy katolików. Miłosierdzie Boże jest **przebiegnięciem** wskazówką, że czynić trzeba, że wysiłek jest potrzebny, że istnieją siły zdolne się przeciwstawić grożącej katastrofie. Oto są znaki czasu!

Ks. Jan Salamucha

Struktura świata materialnego

„Wszystko w świecie jest uporządkowane — i to uporządkowane celowo” — „Świat jest celowo uporządkowanym zbiorem przedmiotów” — oto myśli przewodnie tomistycznej filozofii przyrody. W Sumie Teologicznej (I.II q. 1 a. 2 ad 2) tak te myśli św. Tomasz rozwija: „Istoty rozumne same swoją działalność celowo porządkują, ponieważ same rozporządzają swymi czynami przez wolność wyboru — jest to funkcja woli i rozumu. Przedmioty zaś nierozumne dążą do celu przez skłonność naturalną — jak gdyby przez coś, czy kogoś innego kierowane. Nie samodzielnie, albowiem nie przewidują rezultatu swego działania i dlatego nic nie mogą celowo porządkować, lecz do celu tylko przez coś, czy kogoś innego mogą być kierowane. Albowiem cała nierozumna natura w stosunku do Boga jest, jak narzędzie w stosunku do naczelnego operatora”.

I. INDETERMINIZM I DETERMINIZM PRZYRODNICZY

Do niedawna naczelnym, bezapelacyjnie uznawanym postulatem wszystkich nauk przyrodniczych była teza: wszystko, co się dzieje w świecie materialnym, jest ściśle wyznaczone przez warunki, w jakich zachodzi. Pogląd oparty na tym postulatcie, nazywamy z łacińska determinizmem przyrodniczym. Warto przy okazji zwrócić uwagę na to, że postulat deterministyczny jest tylko postulatem, hipotezą roboczą; doświadczenie może tę hipotezę popierać, ale nie może jej na tezę stwierdzoną zamienić — trzeba by wtedy doświadczać **wszystkie** zmiany, zachodzące w świecie materialnym, sprawdzić, a to jest praktycznie niewykonalne. Hipoteza deterministyczna nie wyklucza, oczywiście, możliwości cudu, bo dotyczy ona tylko tych faktów, które są w naturalny sposób uwikłane w naturalny bieg zjawisk — cud jest skutkiem nadprzyrodzonej interwencji; a także zagadnienie wolnej woli jest z tą hipotezą deterministyczną dosyć luźno i raczej zewnętrznie związane — chyba, że się ją dowolnie rozszerzy ze świata zjawisk materialnych na zjawiska psychiczne. Determinizm przyrodniczy jest postulatem, narzuconym przez założenie racjonalnej budowy świata: fakt, niewyznaczony przez warunki, jest dla nas faktem niezrozumiałym; rozszerzający się ustawicznie zasięg sprawdeń naukowych dostarczał hipotezie deterministycznej coraz to nowych podpopek.

Dziś hipoteza deterministyczna z przybytków nauki wydostała się już na świat szeroki, wchodząc niejako w skład potocznego zdrowego rozsądku; niestety w tym szerokim świecie bywa bardzo często szkodliwie zniekształcona, stając się fetyszem, w imię którego bezapelacyjnie i bez dyskusji odrzuca się tradycyjne przekonania, rzekomo kolidujące z trzeźwą krytyczną postawą.

Gdy jednak sięgniemy do historii, to zobaczymy, że determinizm przyrodniczy bardzo powoli zdobywał sobie panowanie. Mała znajomość świata przez długie wieki podsycała wiarę w przypadek, że istnieją fakty niezależne od warunków (indeterminizm przyrodniczy): im częściej człowiek spotykał się ze zjawiskami, których zależności nie znał, tym chętniej wierzył że one są wogóle od warunków niezależne. A potem, już w epoce nowożytnej, gdy hipoteza deterministyczna nabierała na sile dzięki rozwijającej się znajomości świata, to i wtedy jeszcze długo odzywały się ostre sprzeciwy. Przyczyny zatargów leżały po obydwu stronach. Wyznawcy determinizmu przyrodniczego bezzasadnie rozszerzali jego

Można ich nie chcieć widzieć, ale ich nie można nie zobaczyć. Można je lekceważyć do czasu, ale potem przyjdzie taki moment, że przetrzymamy się własnej lekomyślności. Znaki czasu są niby słup ognia w pustyni, który „nigdy nie schodzi z oczu ludzi”. Są one zapewnieniem opieki, ale i groźnym ostrzeżeniem. Nie odzywają się bowiem napróżno Miłosierdzie jest ręką, która długo i cierpliwie puka, ale biada złowikowi, gdy pukać przestanie!

Oto są znaki czasu. Nie wieszczą one złotego wieku. Mówią o dniach twardej, w których katolicy będą musieli odrobić to wszystko, co z ich winy spot-

kało świat. Nie dlatego bowiem katastrofa grozi światu, że świat był zły — bo świat jest zły — ale dlatego, że katolicy byli zli. Oni, którzy mieli w ręku lekarstwo na wszystkie złości świata. Miłosierdzie, które znaki wieszczą jest mniej dla świata, ile przede wszystkim dla katolików. Mówi ono, że wolno mu raz jeszcze podjąć się próby rozpalenia rewolucji Zmartwychwstania, którą zapalić mieli. Czy miłosierdzie odezwie się raz jeszcze, gdy i ta próba się nie uda? — To jest pytanie, na które katolikom odpowiedzieć „tak” nie wolno.

Jan Dobraczyński

jednak finalizm nadaje swej naczelną tezę raczej postać zdania szczegółowego (niektóre zjawiska etc.), dlatego też może się godzić i z indeterminizmem — i tak się rzeczywiście składało, że często z indeterminizmem wchodził w skojarzenie.

Jeżeli przy pomocy linii prostej, od lewa na prawo, przedstawimy następstwo czasowe:

$x_1 \quad x_2 \quad x_3$

to możemy krótko scharakteryzować różnicę między mechanizmem a finalizmem: Dla mechanisty czynnikami warunkującymi zjawiska x_2 mogą być tylko fakty, leżące na lewo od niego, dla finalisty istnieją zjawiska (takim może być np. x_2) uwarunkowane przez czynniki leżące na prostej czasowej po obu ich stronach (dla x_2 czynnikiem warunkującym może być np. x_3).

Historycznie mechanizm jest wcześniejszy od finalizmu. Zdecydowanymi mechanistami byli już atomiści starożytni (V w. a. Chr.). Finalistą jednak był Arystoteles IV w. a. Chr.) i powagę swoją wyparł prawie całkowicie mechanizm z filozofii przyrody. Od czasów Arystotelesa aż do końca wieków średnich panuje w filozofii przyrody finalizm. Czasy nowożytne znowu odmieniają oblicze nauk przyrodniczych: hipotezą naczelną staje się mechanizm, finalizm jest bezwzględnie rugowany, chociaż mimo to ciągle się z różnych stron wciska, szczególnie podtrzymywany przez nauki biologiczne — i dziś jeszcze ma finalizm swoich obrońców.

Tak się sprawy układają, że mechanicy mówią na ogół językiem jasnym, wyraźnym i ścisłym; finalisci natomiast często wyrażają się mętnie, przywołują na pomoc jakieś siły ukryte, kierujące procesami, chętnie używają antropomorfizmów („procesy dążą do pewnych celów”), operują wyrażeniami wyraźnie podejrzanyymi („końcowe rezultaty wpływają na porządek procesów” — jakże mogą wpływać, kiedy jeszcze nie istnieją). To też mechanistyczna krytyka finalizmu wypada zwykle druzgocąco, ale — i finalistyczna krytyka mechanizmu wygląda sugestywnie. Od razu się widzi, że mechanicy bronią pozycji łatwiejszej — tylko czy nie jest ona zbyt wielkim uproszczeniem skomplikowanej rzeczywistości. — Finalisci bronią pozycji trudniejszej, i często bronią jej niezręcznie. Jeżeli jednak, mimo trudności i mimo niezręcznej obrony, pozycja finalistów ciągle się utrzymuje, to ciśnie się uzasadnione podejrzenie, że sytuacja nie jest tak prosta, jak ją mechanicy przedstawiają.

3. ZBIORY UPORZĄDKOWANE I ZBIORY UPORZĄDKOWANE CELOWO

„Cel”, „celowość” i inne wyrażenia pochodne mają sens zupełnie wyraźny w odniesieniu do działań ludzkich, stąd zapewne zostały później przeniesione na ogólny teren przyrodniczy — znakiem tego te częste antropomorfizmy w języku finalistów „Jan działa celowo”, to znaczy tyle, co: Jan myśli w czasie t_1 o zaistnieniu jakiegoś faktu w czasie późniejszym t_2 i w międzyczasie (od t_1 do t_2), ponieważ sądzi, że od jego działania zaistnienie tego faktu zależy, tak swoje czynności porządkuje (układa), aby ten fakt w czasie t_2 zaistniał. Przykład konkretny: Jeżeli Jan wychodzi z domu, w celu udania się do teatru, to Jan myśli o tym, że za tyle to a tyle minut znajdzie się w teatrze i w odpowiedni sposób kieruje swoje kroki, porządkując swoje czynności lokomocyjne. W działaniu celowym występują dwa główne elementy,

Tadeusz Gajcy (Karol Topornicki)

Przed snem

Nie zatrzymamy się, aż tej nocy nie przepłyniemy milcząc ręką przy ręce, przy twarzy twarz, by kołysała nicość. I będą z nami światy szły, o których wiemy z ksiązek, conajmniej dwa, a może trzy: powietrze, ziemskie, morskie

Nie zatrzymamy się już, a nieba cienki szczebiot będzie nam inną ziemią rósł z księżycą, co jak żebro. I wstąpi tam nasz lekki cień i wówczas blask wygasy nizinnej naszej gwiazdy — Ci serdecznym wskaże palcem.

Zobaczysz krwistej łuny żdźbło, co w okno nasze patrzy, wyniosły dym, zwęglony dom i smutne nasze miasto. I zawiruje krągły stół i świeca wstąpi w ciemność, przy której ciosem zgrzebną tyd i kocham Cię naprzemian.

Nie zatrzymamy się więc tej nocy w milczeniu płynąc, gdy wszystko sen, jesteśmy snem bez ciała i bez imion. Lecz gdy kogutów tkliwy głos doleci nas już siwy — przy twarzy twarz, przy dłoni dłoń wrócimy, wrócimy.

wyróżniające je od działania bezcelowego: myśl o fakcie przyszłym i porządkowanie jakiegoś zespołu czynności tak, aby ten fakt zaistniał. Od razu widzimy, że celowości w takiej postaci nie możemy przenieść na te tereny, gdzie nie ma wśród elementów składowych istoty myśliczej; co prawda finalisci często bez skrępowań to robią, używając takich antropomorfizmów, jak: układ biologiczny **dąży itd.**, ale takie wyrażenia w takim odniesieniu mogą być co najwyżej traktowane jako mniej więcej dopuszczalne metafory. Atoli, w naszej analizie działania celowego, obok elementu myślowego, który tylko metaforycznie może być przeniesiony na układy przyrodnicze w ogóle, mamy poza tym element porządkowania jakiegoś zespołu czynności; na ten element porządkowania warto zwrócić dokładniejszą uwagę, bo wyraz „porządek” i wyrazy pochodne również dobrane stosujemy do czynności ludzkich, jak do jakichkolwiek innych zbiorów przedmiotów — tu więc może znajdziemy środki do przełożenia antropomorfistycznie i metaforycznie wypowiedzianych instrukcji finalistycznych na język naukowy.

„Porządek” to wyraz, uważany przez długie wieki za jasny co do znaczenia, wyraźny i nie wymagający tłumaczeń: aż do ostatnich dziesiątków lat używano tego wyrazu na kredyt rzekomo wyraźnych zupełnie w tym względzie intuicji, a wskutek tego używano go właśnie trochę niewyraźnie i nigdy nie było dokładnie wiadomo, o co właściwie chodzi. Dopiero współczesna logika rozłożyła pojęcie porządku na stole operacyjnym, zrobiła dokładną jego sekcję i okazało się, że nie jest ono tak proste w swej treści, jak się dotychczas zdawało — dzięki przeprowadzonej sekcji zdobyliśmy wreszcie dokładny wgląd w strukturę tego pojęcia.

Dowolny zbiór przedmiotów jest uporządkowany wtedy i tylko wtedy, gdy wszystkie jego elementy mają wyznaczone miejsca. Jeżeli mamy do czynienia ze zbiorem skończonym, o niewielkiej ilości elementów, to możemy go uporządkować w ten sposób, że po prostu rozstawimy odpowiednio jego elementy. Taki jednak zabieg na pewno nie będzie mógł być zastosowany względem zbiorów nieskończonych — bo wtedy sam ten zabieg składał by się z nieskończenie wielu czynności, a okazuje się niewystarczający i względem zbiorów skończonych byle odpowiednio bogatych, zwłaszcza gdy zbiory te ciągle rosną i każdy nowy, przybywający element musi mieć z góry wyznaczone swoje porządkowe miejsce. Wtedy, dla porządkowania zbiorów nieskończonych lub zbiorów skończonych, ale bogatych — zwłaszcza gdy są zbiorami ciągle rosnącymi, musimy mieć jakąś ogólną zasadę porządkującą.

Okazuje się, że taką potrzebną i wystarczającą zasadą jest tzw. relacja porządkująca, która spełnia następujące warunki: jest asymetryczna, przechodnia i spójna. Jest asymetryczna, tzn. jeżeli zachodzi w jedną stronę, to nie zachodzi w stronę odwrotną. — Jest przechodnia, tzn. z tego, że zachodzi xRy i yRz, wynika, że zachodzi xRz — przekazuje elementy odpowiednio związane. — Jest spójna, tzn. między dowolnymi elementami danego zbioru ta relacja w jedną lub drugą stronę zachodzi. Tak np. relacja: x jest mniejsza od y — w stosunku do zbioru liczb, całkowitych posiada wszystkie wyżej wymienione warunki i dlatego porządkuje nam cały nieskończony, otwarty z obydwu stron, zbiór liczb całkowitych:

... — 8, — 7, — 6 3, 4, 5.

Dzięki wskazanej relacji, gdy nam ktoś poda dowolne dwie, trzy, czy cztery liczby, to od razu potrafimy odpowiedzieć, która przed którą w tym zbiorze będzie stała. Taką relacją porządkującą przy porządkowaniu dowolnego zbioru nazwisk będzie np. zwykle stosowana zasada alfabetyczna — zawiedzie ona tylko wtedy, gdy będziemy mieli dwa nazwiska o takiej samej pisowni, wtedy zwykle uwzględnia się pisownię imion, a gdy i dwa nazwiska i dwa imiona, z nimi związane, będą miały taką samą pisownię, wtedy już na podstawie alfabetycznej nie możemy rozstrzygnąć kolejności i musimy dobrać sobie do pomocy jakąś inną zasadę (np. data urodzenia).

Teraz weźmy pod uwagę następujący prosty przykład: Człowiek wciąga ciężar 60 kg. na wysokości 10 m, przy tym sam dopiero montuje pomocniczą aparaturę. Musi przy tej okazji wykonać dosyć bogaty ciąg czynności: przystawi, dajmy na to, drabinę, umocuje blok, przetrzuci przezeń linę, jeden koniec linę przymocuje do ciężaru, za drugi będzie ciągnął i wtedy ciężar zjedzie w górę. Możemy cały ten zbiór czynności opisywać według obserwowanego ich kolejnego następstwa. Ale, poza kolejnością następstwa, wyczuwamy w tym ciągu czynności jakiś porządek „głębszy”, co prawda nie między poszczególnymi czynnościami, lecz między pewnymi ich zespołami; mamy oto ochotę mówić, że nie można ciągnąć za linę, zanim się jej nie przetrzuci przez blok, trzeba najprzód blok umocować itd. Wyczuwając ten jakiś, głębszy od samej kolejności, porządek — a wyczuwać go będziemy jeszcze mocniej, jeżeli zobaczymy kilka podobnych zabiegów i zaobserwujemy jeszcze zmiany w kolejności pewnych, poszczególnych czynności (np. raz ktoś najprzód przetrzuca linę przez blok, a potem dopiero ją przywiązuje do ciężaru, innym razem kolejność jest odwrotna), szukamy dla tego porządku relacji porządkującej. Nietrudno do sprawy bo w rezultacie przekonamy się, że nawet nazwy gotowej ta relacja porządkująca nie ma. Treść tej relacji wystąpi w poprzedniku następującego, intuicyjnie słusznego, okresu warunkowego: Jeżeli ciężar przy pomocy bloku ma być podniesiony, to przymocowanie bloku na odpowiedniej wysokości musi być czasowo wcześniejsze od ciągnięcia za linę itd. W skład tej relacji porządkującej wchodzi element końcowy całego procesu („ciężar... ma być podniesiony”) i bez uwzględnienia tego rezultatu końcowego nie łatwo jest znaleźć relację porządkującą. Zauważymy zarazem, że opis całego zabiegu przy pomocy relacji porządkującej nie wyklucza wcale możliwości opisu według kolejności następujących po sobie czynności — obydwa opisy mogą być równie poprawne.

Zwróćmy teraz uwagę na to, że nie wszystkie relacje porządkujące zawierają w swej treści element końcowy zbioru, nie zawierała go np. relacja porządkowa dla liczb: x jest mniejsze od y. Wobec tego wśród zbiorów uporządkowanych wyróżnijmy te, których relacja porządkująca zawiera w swej treści element końcowy zbioru, i nazwijmy je zbiorami uporządkowanymi celowo lub porządkami celowymi.

4. Finalizm naukowy.

Dotychczasowy język finalistów budził poważne zastrzeżenia ze względu na częste antropomorfizmy („układy dążą do pewnego rezultatu”) lub wysuwanie się ukrytych (entelechia); taki język mógł być wystarczający w dawnych czasach, gdy wiele rzeczy trzeba było za-

twiać tylko prowizorycznie; taki język nie wystarcza wobec dzisiejszych postulatów metodyki naukowej i w oczach wielu dyskredytuje samą sprawę. Logiczna teoria porządku dostarcza nam wreszcie narzędzi, przy pomocy których możemy z języka finalistycznego wyeliminować literackie przenośnie i celowość przyrody opisywać w języku przyrodniczym.

Każdy układ uporządkowany celowo możemy opisywać według kolejnego następstwa (czasowego lub przestrzennego) elementów — będziemy mieli wtedy opis mechanistyczny. Taki opis mechanistyczny może być naukowo poprawny, ale jest tylko opisem jednostronnym. Wyczuwając w układzie porządek celowy, zdajemy sobie sprawę z niewystarczalności opisu mechanistycznego i szukamy opisu dopełniającego, któryby tę celowość jakoś wyrażał. To wyczuwanie celowości i potrzeba opisu dopełniającego są szczególnie mocne przy układach biologicznych, ze względu na szeroką plastyczność obserwowanych środków (procesy regeneracyjne, adaptacja, przy mniej więcej niezmiennym rezultacie końcowym (sprawność życiowa organizmu jako całości). Opiszem dopełniającym będzie wskazywanie dla danych układów relacji, porządkującej je celowo. Opis finalistyczny zupełnie nie koliduje z opisem mechanistycznym — są to dwa różne obrazy jednego i tego samego przedmiotu, robione z dwóch różnych stanowisk. Dla różnych celów jeden lub drugi będzie bardziej użyteczny. Dla celów operacyjnych użyteczniejszy jest opis mechani-

Margines spraw zagranicznych

Pierwszy tydzień maja zaznaczył się w polityce międzynarodowej wydarzeniem kapitalnej wagi.

Było nim francuskie referendum w sprawie konstytucji. Wybrana przed siedmiu miesiącami Konstytuanta opracowała projekt nowej konstytucji, który w swoim łonie przegłosowała zablokowanymi głosami komunistów i socjalistów, wbrew głosom MRP i prawicy. Zasadniczą cechą tego projektu było zlikwidowanie Senatu i wprowadzenie jednolitości parlamentu złożonego z jednej izby. Skupiwszy władze ustawodawcze i wykonawcze w dyspozycji parlamentu — przekreślono zasadę t. zw. podziału władz będącą podstawą demokratycznego ustroju. Tak skonstruowany projekt został przez wyborców francuskich odrzucony większością półtora miliona głosujących (na circa 24 milionów uprawnionych i przeszło 20 milionów głosujących).

Z pośród szeregu pierwszych komentarzy, jakie zagraniczni obserwatorzy donieśli o referendum — najbardziej charakterystycznym wydaje się ten, iż komuniści francuscy zarzucają socjalistom, że ci ostatni winni są klęskę lewicy. SFIO jakoby niezbyt gorąco agitowało za nową konstytucją i jakkolwiek po odejściu de Gaulle'a zbliżyło się do komunistów i poddawany referendum projekt był ich wspólnym dziełem — to jednak ciężar pro-konstytucyjnej agitacji socjaliści pozostawili komunistom; tym samym przeszli sami niejako do roli wyczekującego obserwatora. Stanowisko SFIO wydaje się być najkapitałniejszym zagadnieniem „politycznego dziś” we Francji.

Jerzy Ficowski

* * *

Krysi

Rakiety blask — ziemia przy ustach —
znów pełna noc i świsty kul.

Od mokotowskich idzie pól
„tygrysów” warkot w deszczu chlustach.

Noc przebijana wzrokiem
Otwiera głębie kanonadą

I czujnie patrzy z wszystkich okien
Serc — pięści barykadą.

W oczy wzrok biorę, w rękę — granat
(—popod drzewami grają świerszcze)

— A to jest treść nie powiedziana
I miłość pierwsza.

A to nasz właśnie nakaz jest,
Co dziś na stosie składa kości.

Chrzest
I wielka arka miłości

Tadeusz Sokół

ROSNAĆ

Jerzemu Andrzejewskiemu

Góry wyrosły z głębi — mlecze wymiona ziemi,
a ja jestem korzeniem: rosnę w głąb,
wysysam ciepki szpik podglebia — szary krzemień
i zboże rośnie mną i las wyrasta mną.

Kozice — kosodrzewiny podpatrywanych turni
liżą pierś ziemi — skałę wysupłaną z śniegu;
leżą przykryty niebem, urodzaj gór
i śpiewam życia pieśń: trawą, kwiatem i drzewem.

Góry wyrosły z ziemi, a ja w ziemię rosnę
moim ojcem — wachlarzem rzucanego siewu,
na chudej glebie zbroczy żółtym dojrzewam owsem —
troską żniwiarza: żniwiarz dnia jutrzejszego nie wie.

Szare kozice o oczach mętnych jak brudne kałuże
zdumienie wierzą nozdrzom czarnym i wilgotnym;
korzeniem rosnę w głąb, w sól ziemi się zanurzam
owocowaniem owsa, pszeniczną tęsknotą.

styczny — żeby wprowadzić jakąś zmianę do procesów biologicznych, muszą wiedzieć od jakich czynników czasowo wcześniejszych, ta zmiana zależy. dla teoretycznej orientacji (potrzeba zrozumienia) i przy szukaniu zależności mechanistycznych użyteczniejszy jest opis finalistyczny.

Doświadczalnie stwierdzamy, że celowo działają chociaż nie zawsze, istoty myślące, przede wszystkim ludzie, ale stwierdzamy też doświadczalnie, że istnieją w świecie układy celowe (przede wszystkim organizmy biologiczne), w

których żaden działający element składowy nie jest istotą myślącą. Doświadczalnie stwierdzone układy celowe, w których żaden działający element składowy nie jest istotą myślącą, nasuwają nam myśl, że istnieje poza nimi jakaś istota nadrzędna, inteligentna, która nimi kieruje. A dopiero przekonanie o zależności świata całego od Boga daje nam gwarancję o celowej strukturze całego świata — dostrzegane dysonanse są wtedy dla nas tylko niezrozumiałymi elementami ogólnej harmonii.

Ks. Jan Salamucha

Referendum we Francji

Już oddawna w socjalizmie francuskim rysowały się dwie wyraźne grupy. Jedną — pod wodzą Leona Bluma, żeglowała precz od socjalizmu marksowskiego, oddalała się od idei „jedynolitego frontu” z komunistami, chętną była uformować swój ideologiczny wzorzec na podobieństwo Labour Party. Druga, pod przewodnictwem Philipa parła do najściślejszej współpracy a nawet fuzji z komunistami. Łamana linia politycznej taktyki SFIO idąca od uchwalenia projektu konstytucji, do słabej jego obrony — jest właśnie funkcją wewnętrznych niepokojów w SFIO.

Wynik referendum (9.300.000 na 10.500.000) ujawnił dość dużą równowagę sił politycznych, wobec czego musi się znaleźć jakiś ośrodek polityczny, który szaleńczo zdecydowanie przeważa w jedną lub drugą stronę, gdyż inaczej 7 miesięcy Konstytuanta przemienić się może łatwo w 7 lat Konstytuanta. Tym językiem może się stać tylko SFIO., od której już zresztą odeszła ku MRP lewicowa grupka oporu t. zw. UDSR.

I w takim właśnie momencie w Wielkiej Brytanii składa swe arcy-ciekawe oświadczenie imieniem Labour Party Morrison Herbert. Oświadczył on chęć Labour Party wskrzeszenia II Międzynarodówki i przestrzegli socjalistów europejskich przed pohoptym łączeniem się z innymi stronnictwami, gdyż tego rodzaju bloki prowadzą do jednolitości, w którym to, jako zasadą rządzenia — mówi Morrison — walczone wojując z Niemcami.

Oświadczenie Morrisona, adresowane do wszystkich socjalistów kontynentu, jest

niewątpliwie specjalnie skierowane w kierunku SFIO. Stanowi ono niejako drogowskaz dla tych elementów SFIO, które taktycznie boczają się na komunistów i które ideologicznie przewyżniają marksizm.

Można spodziewać się, iż konieczność zaistnienia we Francji wyraźnego języczka u politycznej wagi wraz z oświadczeniem Morrisona — spowodują rozłam w SFIO. W razie takiego rozwoju wydarzeń rzeczą interesującą i politycznie niezwykle ważną będzie wynik wewnętrzno-partijnej walki o firmę „SFIO”.

Ewentualne rozdzielenie się SFIO na skrzydło pro- i anty-komunistyczne — może osmielić te elementy MRP, które reprezentując postępową i społecznie radykalną myśl katolicką (wzgl. chrześcijańską) — do tej pory dzielił od całości SFIO stosunek tej ostatniej do partii komunistycznej. To lewe skrzydło zablokuje się wtedy (taktycznie nie organizacyjnie) z anty-komunistycznymi grupami SFIO, będącymi prawdopodobnie pod wodzą Bluma. I wtedy od MRP odpadną wszystkie elementy rzeczywiste zachowawcze (mówiąc modnie: reakcyjne), które tworzyły prawe skrzydło partii. Przejdą one na zdecydowaną prawicę, która po przejściowej klęsce w jesiennych wyborach, zaczyna powoli odżywać.

W takim układzie sił — wobec wybitnej radykalizacji społeczeństw kontynentu, która jednak nie dochodzi do komunizmu, a zatrzymuje się przy a marksowskim socjalizmie — należy wierzyć, iż najsilniejszym, o bezwzględnej i zdecydowanej wyrażonej przewadze nad innymi, okaże się właśnie ośrodek powstały z radykalnych elementów MRP i prawe skrzydło SFIO, którego oblicze ideowe będzie korespondować do programu Labour Party.

I wtedy znów pojawić się może na widowni politycznej — generał, de Gaulle, gracz, który wiedział kiedy odejść od stolika i który znał efekt takiego odejścia.

Utworzenie się tego rodzaju ośrodka ideowego socjalistyczno-chrześcijańskiego miało by niesłychanie ważny i dodatni wpływ na rozwój sytuacji ideowo-politycznej całego kontynentu.

Rzecz jasna, iż powyższe rozważania — są jeszcze niesłychanie teoretyczne i mgliste. Dopiero wybory czerwcowe francuskie wykażą nam konkretne przesunięcia na politycznej i ideowej mapie Francji, a przewidywany przez nas rozwój spraw w SFIO może nastąpić dopiero w okresie drugiej Konstytuanta.

K. Kk.

WSZYSTKIE NOWOŚCI

POSIADA NA SKŁADZIE

i wysyła na prowincję

Księgarnia

Oficyna Księgarska

Warszawa, Marszałkowska 34

Sierpień, 1944 rok

Przyczynki do wspomnień o wojennej „AKCJI ŻEGOTY“

Gdy w lecie 1942 r. w ramach zainicjowanej przez Zofię Kossak i p. Filipowiczową akcji pomocy Żydom przeprowadzałem szereg rozmów z ludźmi mogącymi pomóc prześladowanym, spotykałem się z jednym tylko zastrzeżeniem: — aby akcja miała charakter wyłącznie charytatywny, ludzki, płynący z obowiązku niesienia pomocy najbardziej zagrożonym i nieszczęśliwym i aby nie nadano jej wyrazu politycznego. Zastrzeżenia uzasadniono. Uzasadniono tym, że dla aktu serca, dla aktu miłosierdzia należy sięgnąć po potężniejsze od politycznych rozumowe uzasadnienie. I ludzie udzielający wówczas czynnej pomocy nie ukrywali swych nazwisk, stanowisk i adresów wobec ówczesnych przedstawicieli akcji pomocy Żydom. Zastrzegali natomiast tajemnicę na potem. Aby w momencie ujawniania szczegółów akcji pomocy tylko ocaleni znali tych, którzy wobec nich spełnili swój obowiązek.

Zasługi? Pewnie że były. Trudno nie nazwać zasługą ocalenie choćby jednego tylko człowieka, i to ocalenie za cenę osobistego bezpośredniego narażenia się, zwłaszcza wówczas gdy człowiek z wybitnym typem semickim żyje przez kilka lat w rodzinie opiekującej się nim, zwraca uwagę i, jest przedmiotem zawsze niebezpiecznych plotek. Tego rodzaju „zasługa“ nie kwalifikuje się jednak do żadnego publicznego uznania. Musi być pozostawiona ocenie znacznie wyższej, niż ludzkie słowa pochwały czy podziękli.

Powyższy wstęp jest konieczny dla właściwego oświetlenia tej strony akcji pomocy Żydom, która w dotychczasowych omówieniach tej akcji została pominięta. We wszystkich bowiem dotychczasowych publikacjach na ten temat, a zwłaszcza w publikowanych ostatnio przez p. Władysława Bartoszewskiego w „Gazecie Ludowej“ artykułach, pomija się moralnie najistotniejszy i najpiękniejszy okres pomocy Żydom. Okresem tym był czas działania „Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom“, który przy końcu listopada 1942 r. został przekształcony formalnie i faktycznie na „Radę Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu“ (pełny tytuł t. zw. „Rady Żegoty“).

Działalność „Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom“, zapoczątkowana w lipcu 1942 r., nie miała charakteru politycznego. W skład „Tymczasowego Komitetu“ wchodziło grono ludzi dobrej woli, których różnorakie zapatrywania i przynależność do różnych organizacji politycznych nie miały charakteru reprezentowania tych organizacji w „Komitecie“, służyły natomiast w sensie merytorycznym lepszemu rozwinięciu akcji. Piękną postacią p. Filipowiczowej, p. Szwedowskiego i p. Kossak, oraz szereg innych, których ujawnienie nie wnosi nic istotnego do wyjaśnień, poza stwierdzeniem, że z pełnym samozaparciem podjęły akcję zbierania po ulicach, ruinach i różnych wielkomijskich zakamarkach skazanych na śmierć głodową lub od niemieckiej kuli dzieci żydowskich — świadczą o charakterze akcji i o jej wynikach. Jeśli można powiedzieć, że okres działania „Tymczasowego Komitetu“, nieoparty początkowo żadną pomocą oficjalną, zapoczątkował szerszą akcję ratowania zagrożonych, że ilość uratowanych (nie ujęta zresztą w żadnych statystykach) była niewspółmiernie wielka w stosunku do możliwości, że „Tymczasowy Komitet“ stworzył faktyczne ramy dla późniejszej działalności „Rady Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu“ — dziwi całkowite pominięcie go przy dotychczasowych próbach zarysowania historycznego obrazu „Akcji Żegoty“.

Stworzenie możliwości działania dla „Rady Pomocy“ dokonało się dzięki właściwej i pozytywnej postawie p. Leopolda Rutkowskiego, ówczesnego Dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych b. Delegatury Rządu. Odniósł się on z pełnym zrozumieniem do potrzeb finansowych „Tymczasowego Komitetu“, przedstawionych mu przez p. Filipowiczową, p. Szwedowskiego i p. Kossak, oraz do projektu rozwiązań formalno-organizacyjnych, wysuniętego przeze mnie.

Został powołany przy b. Delegaturze Rządu t. zw. „Referat Żegoty“ z tym, że kierownik referatu został uprawniony do reprezentowania b. Pełnomocnika Rządu dla wszystkich spraw, związanych z zagadnieniami żydowskimi.

„Rada Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu“ w pierwszym, prawie rocznym okresie opierała swoją możliwość działania wyłącznie na sumach budżetowych b. Delegatury Rządu, oraz na subwencjach nadzwyczajnych, uzyskiwanych kilkakrotnie podczas osobistych konferencji przedstawicieli Rady z b. Pełnomocnikiem Rządu. Apele Rady i organizacji żydowskich przesyłane wielokrotnie za moim pośrednictwem do amerykańskich, angielskich i palestyńskich ośrodków żydowskich przyniosły z czasem pomoc. Pomoc ta była jednak niewspółmiernie mała tak w stosunku do możliwości ośrodków zagranicznych, jak i do potrzeb ginącego Żydostwa w Kraju. Londyński odbiorca wszystkich wysyłanych za moim pośrednictwem materiałów Rady, organizacji żydowskich i moich sprawozdań, prof. Olgierd Górka, zapytywany przeze mnie kilka miesięcy temu w Warszawie o przyczyny tak małej pomocy zagranicznej dla ginących w Kraju Żydów, wyjaśnił, że finansowe koła żydowskie zagranicą, a zwłaszcza w Ameryce, traktowały apele i wezwania jako przejawskrawienia propagandy antyniemieckiej, oraz były przekonane o istnieniu jakichś żydowskich możliwości przesyłkowych do Kraju, nie wierząc że może pomoc dla Żydów z zagranicy iść wyłącznie za pośrednictwem b. Rządu Emigracyjnego. Sądzę, że takie możliwości przesyłkowe były via Szwajcaria, adresowane do kierownika krakowskiego J. U. S.-u, od którego żydowskie Organizacje Podziemne oraz Rada Pomocy odcieły się zupełnie za jego współpracę z okupantem (J.U.S. — odpowiednik polskiego R. G. O. z tą różnicą, że było pewnym ponad wszelką wątpliwość, że większość darów szwajcarskich dla Żydów w Kraju szła na potrzeby niemieckie).

W ogólnej ocenie akcji pomocy Żydom muszę stwierdzić, że względy polityczne akcję utrudniały. Tak w Kraju, jak i zagranicą. Polityczny skład „Rady Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu“ wywoływał w „oficjalnych“ kołach politycznych nieuzasadnione zastrzeżenia. Tak samo zresztą, jak bezprzyszłościowa polityka Rządu Emigracyjnego musiały mieć wpływ na zagraniczną finansjery żydowską, nie mającą ochoty popierać tego rządu, choćby nawet w akcji na odcinku tak istotnym, jak pomoc mordowanemu, szantażowanemu i ginącemu z głodu.

Nie od dziś i nie od stycznia 1945 r.

Arthur Greiser — prześladowca katolicyzmu

Z nadejściem okupacji niemieckiej nadszedł i okres prześladowań chrześcijaństwa. Nie będziemy tutaj przytaczać porównań z czasów rzymskich, ani też klasyfikować metody szatańskie okrutnych despotów. Chodzi nam raczej o czynny jeden z ostatnich czcicieli Nerona.

Jednym z najwyższych marzeń Niemców hitlerowskich było całkowite wytepienie katolicyzmu... polskiego. Z miękkości bowiem mózgowic hitlerowskich wyległ się jakiś odrębny, narodowy katolicyzm. Każdy hitlerowiec był zdania, że tyle istnieje na świecie katolicyzmów, ile państw na ziemi. Był katolicyzm polski, czeski, francuski, niemiecki i diabli wiedzą, jaki jeszcze. Istniał zatem nie Bóg, ale bogowie. Największą jednak nieważność czuli do „boga polskiego“.

Abstrahując w tej chwili naiwności i skrajną ciemnotę rozbydłonych czcicieli Hitlera, Rosenberga, czy Himmlera, nie możemy pojąć, jak to było możliwe, żeby naród, wydający na świat takich ludzi, jak Schopenhauer, Fichte, Goethe, Kant i wielu innych, niezdołny był do najelementarniejszych rozważań nad zagadnieniami tak codziennymi. Jak to możliwe, że arcybiskup rzeński wspólnie ze swymi czeladnikami potrafił tak dalece rozjuszyc odwiecznie łączące krwi było, że nawet postumenty święte, ołtarze, relikwie kościelne, ba — nawet

piszę o niedołęstwie władz Polski Podziemnej. Przerosty polityczne fatalnie ciążyły nad możliwością załatwienia spraw istotnych i koniecznych. Pamiętam wizytę przedstawicieli Rady u b. Pełnomocnika Rządu w czasie powstania w ghetcie. Padło dużo dobrych i szczerze dobrych, słów. B. Pełnomocnik dał to, co mógł — pół miliona złotych. Nie dał broń, nie dał czynnej zbrojnej pomocy — tak samo zresztą jak b. Walka Cywilna z Kedywem łącznie nie odbiła Majdanka w 1944 r., mimo obietnic kierownika Walki Cywilnej i Kierownika Dywersji, jak nie odbito ostatniego transportu ewakuacyjnego z Pawiaka.

Gdy śledzę obecnie „rozliczenia“ z pięknej pracy, jaką była „Akcja Żegoty“, nie mogę pokonać pewnego uczucia żalu, zamazuje się ładną prawdę. Mówi się, że pieniądze na pomoc Żydom przyniosły „skowronki“, mec. Stefan Korboński udziela „wywiadu“ na temat rządowej akcji pomocy Żydom, usiłuje się politycznie dyskutować o dobrym ludzki czyn, spełnienie zwyczajnego obowiązku.

To są rzeczy conajmniej dziwne. Trzeba bowiem wiedzieć, że każdy Rząd Rzeczypospolitej ma prawo do spadku cennych i wartościowych efektów po rządzie poprzednim. I dlatego nie „skowronki“ zrzucały pieniądze dla Rady i dla organizacji żydowskich — ale zrzucali je polscy lotnicy, służący chlubnie wówczas i nadal Rządowi Rzeczypospolitej. I dlatego nie b. kierownik b. Walki Cywilnej może udzielać „wywiadu“ w sprawach, które zna b. słabo (Przypominam kierownikom b. „Rady Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu“ ich oburzenie, że cytowanej w „wywiadzie“ z mec. Korbońskim odezwy „Walki Cywilnej“ nie podpisał b. Pełnomocnik). I dlatego ktoś z obecnego Centralnego Komitetu Żydowskiego nie powinien być odpowiedzieć człowiekowi, który ocalił wiele dziesiątków dzieci żydowskich, że ponieważ dzieci zostały umieszczone w katolickich zakładach wychowawczych i są ochrzczone — to już nie są dziećmi żydowskimi.

Tyle co do „rozliczeń“ z przeszłością. Obecnie Prezydent Bierut i Premier Osóbka-Morawski dali wyraz, aby nowo utworzona Liga Antyrasistowska pracowała dobrze i rozwijała się wspaniale. Takie życzenia muszą być życzeniami każdego uczciwego człowieka, Są setki i tysiące ludzi, którzy czynną postawą dowiedli swego antyrasizmu. Więcej: dowiedli chrześcijańskiej miłości bliźniego. Należy życzyć, aby prawda zasad, na których Liga Antyrasistowska się opiera, nie była umniejszana żadnymi względami niższego rzędu. Aby ludzie kierujący Ligą mieli odwagę poprowadzenia wielkiej ogólnoludzkiej, a nie tylko małej, do środowisk partyjnych ścieżki polityki.

Witold Bienkowski (Jan Kalski)

czynne, przeciwnie — panował w nich ruch ogromny: magazynowano paszę dla koni wojskowych, słomiane bambosze, czy też kalosze dla wojska i różne inne hitlerowskie ersatz'e.

Gdyby nie Vollksgenosse Artuhr Greiser, mówiąc szczerze, to po Himmlerze i wszystkich komendantach obozów koncentracyjnych żaden ze zwyrodniałych hitlerowców nie potrafił by skuteczniej pastwić się nad katolicyzmem i jego wiernymi, jak to czynił ów kat na benefis swej manii führerowskiej. To on, Arthur Greiser, Reichstatthalter für den Reichsgau Wartheland i Gauleiter osobistą zapowiedział walkę na śmierć i życie katolicyzmowi polskiemu w podległej mu prowincji. To on, Arthur Greiser zapoczątkował rzeź wszystkich Polaków, to Arthur Greiser poił się krwią niewinnie i bestialsko zamordowanych Polaków. Z osobistej inicjatywy Greisera powstał obóz śmierci w Radogoszczy pod Łodzią.

Z czyjej to inicjatywy policja niemiecka w Łodzi osaczała kościoły polskie (gdy te były jeszcze otwarte), aresztując(!) i wywożąc dzieci polskie, przystępujące do Komunii Świętej? A komuż to przeszkadzały postumenty święte, m. in. Chrystusa Pana przed Katedrą w Łodzi? Na czyje to życzenie rozbestwieni, arcy mordczy SS-mani gwałcili w Katedrze przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi napotykaną po godzinie policyjnej kobietę polską, by je następnie oddać do domu publicznego dla żołnierzy przy ulicy Cegielnianej? I czy to nie pod osobistą reżyserią Arthura Greisera „volksdeutsch“ Warthelandu, a przede wszystkim Łodzi, popełniali zupełnie świadomie wyrafilmowane zbrodnie na Polakach?

Zaprawdę, przeklęta była Łódź pod okupacją kata Greisera. W żadnej dzielnicy polskiej „volksdeutsch“ nie znęcali się tak okrutnie na niewinnych Polakach, jak w piekle Litzmannstadt. Podczas, gdy np. na Górnym Śląsku Polacy, po szybkim zorientowaniu się co do stosowanych metod bandyckich przez hitlerowców, okazali bardzo wczesną pomoc i sympatię dla nieszczęśliwych „volksdeutsch“ Łódzcy do ostatniej chwili kąpieli się w krwi umęczonych Polaków!

Lecz mimo tych tylko procentualnie obliczonych zbrodni, nikt z szczerych Polaków nie żąda zemsty. Żądamy jedynie sprawiedliwości i kary takiej, na jaką zasłużył sobie pospolity zbrodniarz i morderca z bronią w ręku, zbrodniarz z legowiska poznańskiego, potwór i potrach niedawnego „Warthelandu“.

A jeśli się znajdzie ktoś, kto podniesie alarm przeciwko wyrokowi uczciwemu, to pod adresem Sądu Polskiego pragnę doradzić: sędzię Greisera za pospolitą zbrodnię według praw amerykańskich, angielskich, francuskich, włoskich lub hitlerowskich, a będziecie spokojni w opinii świata cywilizowanego.

Tajos

LIST DO REDAKCJI

Komisja nasza przygotowuje do druku antologię poezji związanych z losami Żydów pod okupacją niemiecką. Wejdą do niej zarówno wiersze dotąd nieogłoszone, jak już publikowane.

W związku z tym zwracamy się do P.T. Autorów z prośbą o przesyłanie nam związanych z wzmiankowaną tematyką utworów. Niemniej wdzięczni będziemy za wszelkiego rodzaju wskazówki o utworach już opublikowanych, które mogły ująć naszej uwadze. Chodzi przy tym zarówno o wydawnictwa książkowe, jak czasopisma (w tym ostatnim wypadku, jeśli przesłanie wycinka jest niemożliwe, o wyszczególnienie nazwy, miejscowości i daty, wzgl. numeru pisma).

Redakcja „Książek Woj. Żyd. Komisji Historycznej w Krakowie“ (ul. Długa 38).

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946 — wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1060 zł. (cena hurtowa 10 zł., detaliczna 15 zł. plus porto)

ks. dr. Win. Helenowski
Gostynin, wojew. Warszawskie.

„POLNISCHE KIRCHE“

Taki napis widniał na każdym kościele polskim w „Warthelandzie“. I można by się jeszcze z tym pogodzić, ale niestety — kościoły były zamknięte i zapieczetowane, zamknięte na wszystkie spusty dlatego, że były polskimi, katolickimi. Nie twierdzą, że świątynie te były nie-

Maria Zofia Leszczyńska

MONTE CASSINO

Szumiały uroczce kaskady, oliwne, pomarańczowe gaje oddychały upojeniem własnego istnienia, wejścia do fantastycznych grot zasnuwały welony zielonego bluszczu, szklili się i mieniły srebrzysty szlak rzeki Liri, puszyste kobierce łąk coraz niżej, pochyłej opadały ku przeczulanemu — gdzieś w oddali — morzu.

Tutaj — w tym uroczym zakątku ziemi — u podnóża najwyższego łańcucha Apenin — Gran Sasso d'Italia — oparte na północy o kraj dziki Abruzzów, na zboczach Albanetta stanął w VI wieku cud średniowiecza — wspaniałe benedyktyńskie opactwo — Monte Cassino, które, gdyby nie tytaniczny dorobek wieków, nie gigantyczna rzeczywistość — można byłoby nazwać czarowną bajką z Monsalvat.

Założycielem klasztoru był św. Benedykt, pustelnik z Subiako. Masywy budynków silnych, jak twierdze, obszerne dziedzińce bez dachu, lekkie tarasy z balustradami, wspartymi na głębokich arkadach, strzeliste kolumny korynckie z pysznymi kapitelami, czarne i białe marmury, porfiry, bazylika, kaplice, krypty z gigantycznymi posągami świętych, szkoły, warsztaty rzemieślnicze, pracownice artystycznego rękodzielnictwa — całe państwo, rządzące się i zagospodarowane samoistnie.

Zwiedzającemu przed wojną tę twierdzę, opancerzoną w kamień, te sale, muzea, wypełnione arcydziełami sztuki wszystkich epok, absydy, zdobione mozaikowym kunsztem dekoracyjnym, kaplice, którym w kolejności wieków przyswojono panujące style — mimowoli zjawiało się w pamięci obce wprawdzie, ale tak świetnie ilustrujące istotę tego — co się tu widziało — słowo l'esso — a więc wzlot, poryw ku pięknemu treści, ku pięknemu artystycznej ornamentacji wyrażonej — czy to w przepychu złotnictwa, czy w finezyjnym kunszcie nakładania emalii, czy w płaskorzeźbie na kości słoniowej.

Zakon rozbudowywał artystyczne uczelnie, warsztaty zdobnictwa mozaikowego, przyswoił i rozpowszechnił przedziwną sztukę marmurów — poczynaniami tymi przygotowując podstawy do umięzależnienia i rozwoju rodzimej artystycznej produkcji. Mijając liczne sale — stanęliśmy wobec cudu ludzkiej pracy, wobec sławnych montecassińskich księgozbiorów.

Na półkach — wyłożonych cedrowym drzewem — leżała książka, leżały jej tomy tysiączne — wzorzystymi grzbietami skór — niczym tkaninami gobelinów osnute, oprawne w zamsze, w safiany, błękitną emalią nakładane, w kość słoniową ujęte, mszały, dawne modlitewniki kościoła, inkrustacjami strojone, smaragdami, jaspisami błyszczące, ażurami z najcenniejszej złotej blachy pokryte, książki — gromadzone, ręcznie przez zakonników przepisywane, skrzętnie pielęgnowane — w których, jak w skarbcu, przechowywana była najwyższa zdobycz umysłów wszystkich czasów — myśl ludzka.

Czułeś — że za jednym dotknięciem twej dłoni — rozchyliły się kolorowe obramienia kart, zachwycały w przepychu złota rozbudowanymi inicjałami, przemówią do ciebie mową wieków, odsłonią ich tajemnicę, potęgę, to nicość — bo w księgozbiorach zamknięta jest dusza świata.

Widziałeś — że każdy wiek — na nowo rozpoczyna swą grę, w którą włożony jest największy z wysiłków, jakim jest samo życie.

W czasach narodzin oświaty — klasztor w Monte Cassino był krzewicielem nauki, z pietyzmem przechowywał zażytki starożytnej wiedzy klasztornej, sortował, skupiał olbrzymie materiały naukowe.

Wielkie nazwiska, przodujące cywilizacji, związane są z historią tego opactwa. Papież Grzegorz Wielki, zakonnik benedyktyński, w II-jej księdze „Djalogów” kreślił natchnioną postać św. Benedykta, papież Wiktor III — poprzednio montecassiński opat Dezyderiusz — zbudował klasztor wielu arcydziełami sztuki, św. Tomasz z Aquinu, największy filozof scholastyczny katolickiego kościoła — w pobliżu — na Roccasecco urodzony —

kształcił się i wychowywał w tym opactwie.

W ciszy klasztornej celi rozmyślał i regułę przyszłego zakonu układał Ignacy Loyola, tysiączne rękopisy najslawniejszych ludzi pióra wypełniały archiwa, biblioteki opactwa, rękopis „Boskiej Komedy” Danta tu spoczywał, ze szkoły benedyktyńskiej wyszedł zasłużony nauką Borghini Wincenty, historyk Florencji.

Na szlaku Rzym — Monte Cassino — historia widziała uczonych, dążących do prastarej kolebki książki, widziała artystów, szukających tu tematów i natchnienia, widziała królów, cesarzy, którzy z wyżyny Monte Cassino oglądali dwa światy: łaciński, już przyswojony północy i bizantyjski, z którego nie wyzwoliło się jeszcze południe. Interesy się ścierały, zahaczały — obcy najeźdźcy pustoszyli kraj — Saraceni, Longobardowie, Normandowie. Chwymano za broń. Burzony, rabowany był klasztor. Odbudowywała go zawsze mrówcza praca braci benedyktyńskich.

Wojciech B. Mencil (Paweł Janowicz)

KSIĘGA MIRAŻY

Stachowi na pamiątkę tamtego wieczoru (3.I.43 r.)

Wieczory od łez sine i latarnie smutne
bardziej niż tamte noce, gdy garściami z nieba
wiatr sypał w okno gwiazdy;
pokój srebrniał w mroku,
a oczy pełne światła, gorące jak morza
błądziły nieruchomo po kutych broszkach zodiaku.

Patos mistycznych rozżaleń...
mój smutny przyjacielu! — święty Franciszek umarł...
kochasz zastygłe kwiaty?
umarłe kwiaty czy kochasz? —
patrz! — złote kaplice ptaków
w kompozycjach cieni na witrażach
światłocieniem przesuwają się zwolna.
Melodia, której nie słuchasz
zaraz umilknie w organach —
nie odwracaj myśli od serca:
kościół najpiękniejszy są rano.

Linia życia łagodnie
na twej dłoni wygięta ku światłu
— odloty ptaków nie obce —
zapadłeś w świętą geometrię nocy
ukochaniem sosnowych pniaków.

Poręczami słów się chwytaleś — ukosem przebiegał zakręt —
kroki dudniły jak pieniądz —
myślałeś — — —
magiczne formuły zaklęć uchylały piękno?

A pola były jak miłość
i miedze krokiem szerokie
— kolumbiadami snów, wpływ, przeciw prądom —
na zboczach kwiatnych gór,
na krawędziach mistycznych ołtarzy
— odpoznasz ciepło rąk drógich
znalezione w Księdze Miraży.

Dziewczynom słodycz odrzucić, banalnym jak zwrotki,
uśmiechy oczom odcięte niech płyną w ekstazach w błękit!
my
na powiekach rzesami
jak do modlitwy przymkniętych
wstrzymamy przeciekającą młodość.

Maciej J. Kononowicz

PRZED ŚWITEM

Pamięci Wojciecha B. Mencil, Autora poematu dramatycznego „Przed świtem”.

Patrę Ci, patrę w oczy — już głębiej nie można.
Już dalej tylko noc, już dalej — włos się jeży —
Wala się ściany krwi zapomnień i rozpoznaj
I czegoś strasznie żal — że to się już... nie zmieni.

Czerwoną rymem krwi na ślepych barykadach
Ostatni prosty wiersz przybiłeś jak nekrolog —
Nie tryśnie cień spod nóg, zakrzepła pieśń na wargach,
Dłoń Twoja poprzez piach nie sięgnie do nikogo.

Przed świtem — jeszcze czas — dalekie są bezdroża —
Harmonię w dłoniach masz — i usta nawprost wiatrom
Jest zaświat — Ty — i pieśń, jest trójświatność boża —
A u nas słów Twych ślad, którego łyż nie zatrą...

4.10.45.

Staje się zadość religijnej tradycji białej z pod Grunwaldu i Wiednia. Wojsko polskie przygotowuje się do boju — słuchając przez 5 dni Mszy św. i przystępując do Komunii św.

Jak przełęcz w górach Sierra de Guadamarra, zdobyta przez sławną szarżę ułanów polskich na baterie hiszpańskie, tak zdobyte Monte Cassino miało otworzyć sprzymierzonym drogę na Rzym.

Do szeregów 8-jej armii brytyjskiej weszły oddziały 2-giego korpusu polskiego — dywizje — kresowa i karpacka.

Pod nieprzerwanym ostrzałem niemieckich dział — saperzy naprawiają mosty i drogi, przy pomocy klamer skalnych i drabinek sznurowych — żołnierze wojsk łączności wspinają się na strome zbocza gór z bębnum kabli na plecach, ważącym 50 kg. Artyleria wciąga na nieosiągalne, zdawało by się, szczyty — ciężkie działa — budząc podziw obcych dowódców. Wyczyny te zostały uznane za niemające precedensu w historii wojen.

Dzień 11 maja — dniem generalnego ataku. Płonie cały front. 2400 dział gra jednocześnie, pociski świetlne wskazują drogę natarciu. Stoi uszykowana do boju sławna z pod Tobruku brygada karpacka, zaraz za nią ruszy inna dywizja trzema batalionami. Gotowi. Pada rozkaz. Ruszają. Idą. Biegają. Płyną — na zwycięski bój czy po śmierć? Kto zdoła wiedzieć? Odwrotu nie ma — zwyciężą, zdołają, za cenę życia — zdołają!

Huraganowy ogień nie głuszy śpiewu, nie głuszy pieśni karpackiej brygady, brzmi ona zapowiedzią straszego odwetu:

„Na ostrzach naszych bagnatów, nieśmiemy hasło odwetu...”

Odwetu za mordy, za okrucieństwa popełniane w Polsce, za męczeństwo!

Z hukiem pękają granaty, unoszą się opary ciepłej krwi. Siła eksplodujących pocisków miazdzy ciała, ciska nimi, zawieszają je na wystających, sterczących skałach. Od tygodni, miesięcy teren walk pokryty jest trupami. Nikt ich nie sprząta, leżą gdzie kogo śmierć dosięgła, w gorącym powietrzu rozkładają się ciała, cuchną. Wśród zmarłych czołgają się żywi, leżą, podrywają się, walczą — ranni — czekają na wybawienie. Wśród trupów. Okropne...

„Polacy walczą, jak lwy — do zupełnego wyczerpania — ustają zabici lub ciężko ranni” — roznoszą cały świat iskrowe wiadomości brytyjscy korespondenci.

Wzgórze „Widmo”, jeden ze szczytów obok Piedimonte — usiane minami. Wstrząsająca depecha z frontu głosi: „Podczas natarcia na wzgórze „Widmo” żołnierze jednego z batalionów rękami rozbrajali pułapki. Strzelec Grzegorz Bulak rozbroił już jedną pułapkę, gdy oto natknął się na minę naciskową. Wybuch oderwał mu stopę.

„Koledzy — robię Wam przejście — zawołał”.

Nadludzkiem wysiłkiem woli poderwał się, skoczył na jednej nodze i runął całym ciałem na dwie następne miny. Dwa wybuchy rozszarpały ciało Bulaka. O dwa metry od przejścia, które on — kosztem życia otworzył — znajdował się pierwszy niemiecki schron. Batalion wziął go szturmem.

Pada niedostępne wzgórze Albanetta. 17 maja rozpoczyna się ostatni najkrwawszy bój o samo Monte Cassino. O godzinie 7 rano moździerz polskie otwierają huraganowy ogień na stanowiska niemieckie. Rusza piechota. Żołnierze II-go korpusu uderzają z niebywałą furją. Dowódcy polscy idą w pierwszej linii. Atak na klasztor prowadzi polski podporucznik saperów.

18 maja Niemcy zaczęli opuszczać kryjówek, ręce wznosili do góry, powiewali białymi flagami.

Polski sztandar — zawieszony rękami polskiego porucznika saperów zawisnął na ruinach klasztoru.

Jedną literą „V”, nakreślona ołówkiem — zawiadania porucznik dowództwo sprzymierzonych o odniesionym zwycięstwie.

Droga na Rzym stała otworem.

Niezaspokojony, dociekliwy umysł ludzki na ruinach bezcennych dzieł sztuki,

na zgłiszczach księgozbiorów — szperac pocznie na nowo. Może w skalnych załomach, w ukryciach tajemnych — zakonnikom tylko wiadomych, w gruzem lub namulim stuleci zabarykadowanych tunelach — zagubiających się pod głębokim dnem rzek — odnajdzie ocalałe cudem okazy lub żdźbła i okruchy, które zdoła powiązać w kształt, w myśl, jak cierpliwy szperacz w skałach magnowych Brazylii czy w piaskach indyjskich

zawsze odnajdzie okruchy brylantu, które zdołają zachwycić ludzkie oko

Ten trud mozolny byłby bezsprzecznie podjęty w pierwszym rzędzie przez zakonników opactwa — lecz pierwej — nim w grzy rozsyłał się klasztor — zabrakło w nim zakonników. Wywieziono ich, wytopiono, pomarli...

O droga kolebko prastarej wiedzy i sztuki! Cywilizowanej ludzkości nie stanie nigdy leż — aby twą stratę należyście oplakać...

Musiałas paść — jak padło tysiące polskich żołnierzy — by przez kunsztowny kompleks twoich burłowi, poprzez grzyz twój sławnej bazyliki, poprzez wyrabane — zdające się nigdy nie kończyć perspektywy twoich przepięknych wirydaży — odsłonić drogę na Rzym, drogę, prowadzącą do rzeczy droższej ponad wszystko — co ukochały narody — drogę do wolności.

Maria Zofia Leszczyńska

rej wyraz przelotny daje kuzyn Jerzy, że Polacy i tak nadal tu trwać będą. Historia jest surowa, lecz sprawiedliwa: świat z „Księżycą“ istotnie nie zasługiwał na to, aby dalej trwać, skoro sądził, że jego zadania są już wyczerpane i że można poświęcić się dyskusji, szukaniu podniekt lub w ostateczności specjalom cioci Drzewińskiej. Prawo historyczne trzeba wciąż odnawiać, nie wystarczy go manifestować. Zamoyłło to rozumie i wie, że dla niego jest już zapóźno.

Włodzimierz Pietrzok

Iwaszkiewicz

(Dokończenie)

Z kolei przejść trzeba było do dwu powieści. „Pasje błędmierskie“ są próbą rozszerzenia ram pisarskich, próbą niewątpliwie szerszą, choć nie tak udaną jak „Czerwone tarcze“. O ile „Czerwone tarcze“ wiążą się z zagadnieniem jednostki i zbiorowości, o tyle „Pasje“ w stopniu większym niż kiedyś „Zmowa mężczyzn“ poświęcone są analizie ówczesnego społeczeństwa. Tym samym rozszerzają krąg widzenia pisarza w sposób bardzo wydatny i łączą tę jego fazę pisarską z tym zjawiskiem, jakim była w literaturze 1918 — 1939 literacka krystalizacja społeczna. Wyraźniej niż u Kadena chodzi Iwaszkiewiczowi w tej powieści o osąd, o ocenę, nie tylko o stwierdzenie. Może ta odwaga nieco zaciążyła na doskonałości artystycznej: „Pasje“ wykazują ślady załamania, choć w skali bezwzględnej stoją niewątpliwie wyżej od „Zmowy mężczyzn“.

Tych załamania nie wykazują „Czerwone tarcze“. Powieść o średniowieczu gra w twórczości Iwaszkiewicza podobną rolę, co „Salambo“ w twórczości Flauberta. Jest nieoczekiwana, stanowi wycieczkę w egzotyzm. Średniowiecze odgrywa w tym czasie — ciągle jeszcze do końca nie wykorzystana — rolę podobną jak atrakcja Wschodu dla literatury francuskiej w drugiej połowie XIX w. i niewątpliwie jeszcze będzie ją odgrywać. Pisząc „Salambo“, Flaubert miał przed sobą jedyny tylko ster, ster intuicji. Chciał dać obraz Kartaginy prawdopodobny, ale w braku dokumentów był skazany na własną inspirację. Nie można go sprawdzić, można mu tylko wierzyć lub nie wierzyć. Wyprawa literacka Iwaszkiewicza dotyczyła terenów lepiej zbadanych i o pracowanych; przecież, gdy chodzi nie o urzędzenia tego czasu, lecz o nastroje psychiczne — równie te tereny były egzotyczne i równie pisarz był zdany na siebie. W obu tych powieściach akcja nie rozgrywa się w momentach jaskawych historycznie. Gdyby ich autorami byli romantycy, zostali by zapewne pociągnięci przez wojny punickie, względnie przez tatarskie najazdy lub walkę Władysława z braćmi. Ks. Henryk jest uczestnikiem wielkich wydarzeń swego czasu raczej jako widz niż jako aktor. Ociera się o dwór cesarski, o politykę italską cesarzy, lecz dramat jego rozgrywa się w zaciszu Sandomierza, niemal na odludziu.

Jako powieść historyczna zajmują „Czerwone tarcze“ w polskiej literaturze miejsce odrębne i warto się zastanowić, na czym ta odrębność polega. Trzech właściwie miała polska powieść historyczna autorów — Kraszewskiego, Sienkiewicza i Żeromskiego w „Popiołach“. Gdy o dwu pierwszych chodzi, działa wpływ Waltera Scotta, zamiłowanie do wielkich przygód, do charakterów o rysunku prostym, lecz o dramatycznym patosie. Obaj ci pisarze nasycili walter-scottowską ewokację historii sensem polskiego imperatywu społecznego i zajmowali wobec przeszłości stanowisko polityczne. Słło im o tezę — i taki jest zresztą zawsze los historycznej powieści w naszej literaturze. Bohaterowie „Popiołów“ mają jeszcze ten sam dramatyczny patos, patos synów kłeski ojczyzny własnej i kłeski boga przybranego — Napoleona. Żeromskiemu chodzi o problem pożytku z krwi, pożytku z ofiary, a więc znowu sens imperatywu, pojęty przez Piotra Rozłuckiego nad ojcowską powstającą mogiłą. Inaczej niż Sienkiewicz, Żeromski nie chce ludzi pewnością zwycięstwa, pewnością, która może być fałszywa. Pragnie powiedzieć, że bez uwagi na zwycięstwo, bez uwagi na kalkulację logiczną — ofiara jest konieczna, krew rodzi nowych mścicieli.

Rewizjonizm historyczny Iwaszkiewicza w „Bitwie pod Sedgmoor“ zwraca się

przeciw koncepcji bohaterskiej bezpośrednio, w „Czerwonych tarczach“ — ubocznie, poprzez następstwa, wynikające z rewizjonizmu psychologicznego. „Czerwone tarcze“ dają prawdopodobieństwo psychicznego klimatu, oparte na intuicji. Jeśli by się upierać przy konwencji Waltera Scotta, że ludzie średniowiecza byli takimi, jakich widać w świetle „chanson de geste“, że żyli tylko pod znakiem odwagi i wierności, że nie pojmowali życia bez konia i bez miecza, a także bez rogu Rolanda, używanego na chwilę przed śmiercią, trudno przyjdzie uwierzyć, że poza wojną widzieli ten świat, co i my widzimy, świat przeciwności fizycznych i uczuciowych i że niewątpliwie — zarówno im jak nam — najtrudniej było pokonywać te trudności, które mają źródło moralne. W powieści historycznej występuje nie tylko epoka, w której akcja jest umieszczona, ale i epoka, w której powieść została napisana. Powieść historyczna, której ojcem stał się Walter Scott, szukała różnic między tymi dwoma epokami. Można powiedzieć, że nas dzisiaj interesują raczej podobieństwa.

Może nikt inny jak właśnie książę Henryk nie nasuwa sugestii, że między tłumem polskiej dzielnicy, żyjącej prymitywem poganizmu ochrzczonego świeżo i tylko przez dogmat katolicyzmu, — a tym bohaterem, który w wędrówkach po świecie zmierzył względność vetera et tradita, musiało dojść do konfliktu. Istotą tego konfliktu jest starcie jednostki i zbiorowości, jednostki, która wyprzedza zbiorowość w rozwoju. Zbiorowość nie chce i nie może tolerować jednej czyjejs swobody, bo sama stoi oparta o wyrzeczenia wszystkich, bo sama jest konstrukcją prymitywną. Zbiorowość, którą Iwaszkiewicz w „Czerwonych tarczach“ przedstawia i która w innych jego utworach jest w głębi jako tło indywidualnego dramatu, ma cechy pierwotne i mechaniczne. Tworzą ją jednostki, które pojmują ze sobą jako przystosowanie się poprzez rezygnację z indywidualnych różnic i bogactw. Wyrzeczmy się na tyle, abyśmy byli jednakowi, abyśmy się bez reszty rozumieli — oto co otwiera tę niepisana społeczną umowę. Jest to poddanie się całości bez wysuwania osobistych żądań, w płaszczyźnie rezygnacji rządzonych. W tym sensie są „Czerwone tarcze“ krytyką mechanistycznej koncepcji społeczeństwa — w imię jednostki, nie w imię nowej natury społecznej powiązania. Pisarzowi bowiem chodzić powinno nie o sukces abstrakcji, lecz o człowieka. Wszystkie konwencje mają, mieć powinny zresztą, tę pomyślność człowieka, a nie swoją własną, na uwadze.

Wydaje się, że „Czerwone tarcze“ skierowały Iwaszkiewicza w stronę krystalizacji społecznej, czego wyrazem stały się „Pasje błędmierskie“. W jakim zakresie można tutaj mówić o krystalizacji społecznej? W „Pasjach“ góruje nie tylko temat umierania, w którym współuczestniczą — jak dr. Jekyll i mr. Hyde — Zamoyłło i Kanicki ze swoim plugawym rodzajem istnienia. Zamoyłło i Kanicki, choć nie są reprezentantami swojej sfery, stanowią typy społeczne jak bohaterowie Dickensa i myśląc o nich, myśli się o sferze społecznej, która ich wydała. Ich śmierć stanowi akord ostateczny dla problemu nieudania w skali zjawisk już nie indywidualnych, a społecznych. Zamoyłło nie udaje się osobiste życie, pożytkie domowe i los dzieci, opaczny, a chyba przez autora nie całkowicie rozwiązany, gdy chodzi o Różę i Antka. Oboje mają tendencję do zdeklasowania się społecznego, do powrotu w anonimowy tłum i w tłumie chcą zdobyć własne, niezależne od ojca, stanowisko. Ta rzecz nie jest w powieści pogłębiona i może stwarzać nieporozumienia. Sprawa Róży może być

traktowana jako tołstojowska ucieczka do ciszy i prostoty, choć przeczy temu echo Przełęckiego, zawarte w wyborze zawodu nauczycielki szkoły powszechnej, w powieści niewyzyskanym równie jak niewyzyskanym jest motyw miłości Róży motyw na granicy megalomanii i teatru okropności. Antek, gdy wchodzi w apologię sportu, staje się niezręczny i fałszywy. Sport nie stanowi sposobu życia, jest ćwiczeniem ciała, które dziś w systemie rekordów i profesjonalizmu zrobiło wątpliwą karierę. Aby zrozumieć wątpliwą naturę tej kariery, wystarczy zanurzyć się w czystej atmosferze „Dysku Olimpijskiego“ Parandowskiego i porównać greckie olimpiady z wzorami rzymskich gladiatorów, tak przypominającymi niektóre formy współczesnego sportu zawodniczego. Sport pokutuje u Iwaszkiewicza na marginesach i artystycznie biorąc, motyw ten powieść tylko obciąża.

Koniński nazwał „Pasje“ powieścią o umieraniu. Jest nią bezwątpienia. Jest powieścią o umieraniu kierowników tradycyjnej warstwy historycznej i o zakaźnej chorobie, która gnębi elitę intelektualną. „Pasje“ stwierdzają świadomie proces zaniku energii w warstwach historycznych; proces, który istnieje już w „Księżycu“, którego ułamek ukazany jest w „Pannach z Wilka“. Nieudane życie Zamoyłły to przede wszystkim świadomość, że jego triumf pisarski nie ma widoków przetrwania, innymi słowy, że wszyscy ci, dla których pisał, wymarli. Przychodzą nowi ludzie, których Zamoyłło nie rozumie i którzy go nie rozumieją. Świadomości końca towarzyszy epikurejska rezygnacja, zadawalająca się wspomnianiem tego, co kiedyś było wspaniałe, co się rozpada i czego w żaden sposób nie można odbudować. Dla Zamoyłły mówić o odbudowaniu jest zapóźno, należy on do środowiska, które wyczerpało swą biologiczną energię, które przeżywa upadek Rzymu, a swą energię psychiczną użyć może na to, aby stać się trubadurem własnej śmierci. Zamoyłło stoi u kresu tego historycznego szeregu, który otwierał żywy hr. Mirabeau, którego przedłużeniem były fikcyjne żywoty de Marsay'a i Rastignac'a, który ożywał w nie mogącym dojść do żadnego celu Fryderyku Moreau, który się odsuwał w porze swego zmierzchu w zacisze folwarku i stajni jak ks. de Brécé albo dożywał wielkości w salonie de Guermantes. Zamoyłło przeżył bohaterów Prousta i bohaterów France'a: on jeden działał, kiedy tamci do działania byli już niezdolni, kiedy, obojętni na los swego narodu, odsuwali się od poczynania społecznych, neutralni lub nawet pełni tej pogardy, którą w „Sprawie Dołęgi“ odsłonił Weysenhoff. Zamoyłło pisał, jego pisarstwo było, jak wspomnienie w życiu Rubena, ewokacją ruin. U końca towarzyszy wielkiemu pisarzowi Zamoyłły poczucie, że jego cały trud pisarski był daremny. Zamoyłło jest spowiednikiem przeszłości i ma to poczucie, że jego dzieło może być dokumentem, lecz nie zawiera ładunku, który ożywiłby zachwyty w potomnych.

Już młodość Zamoyłły — w perspektywie powieści „Księżyc wschodzi“ — była szarpaniem się, nieokreśloną walką ze wszystkim i z samym sobą. Wydziedziczenie ukraińskie, katastrofa rodzinnych gniazd, która dla Polski niepodległej oznaczała przesunięcie pojęcia kresów z okolic Białej Cerkwi w okolice Tarnopola i Stanisławowa, dla ludzi z warstwy Zamoyłły jest równoznaczna z urwaniem się historycznego ciągu. „Księżyc wschodzi“ jest ciągle jedyną w naszej literaturze pozycją z tego zakresu, oprócz impresji Wańkiewicza „Szczęśliwe lata“. W perspektywie „Księżyc“ jest poczucie przegranej. Bo przegrana jest wiara, któ-

Kanicki jest zakażony od początku. Jego twórczość literacka rodzi się z kulturalnego incestu. Na podłożu brudnego drobnomieszczańskiego życia Kanicki usiłuje od razu stworzyć tak samo jak Zamoyłło. Jeżeli Zamoyłło stoi na ruinach, to kiedyś w tym miejscu było życie i walka. Kanicki pragnie przejąć tradycję piękną, stworzoną przez świat Zamoyłły, zupełnie za darmo, przychodząc do gotowego. Jego miłość romantyczna do Róży jest próbą wkupienia się, próbą uzyskania indygenatu. Jeżeli nie Róża, to inna kobieta; kieruje nim filozofia piosenki, jest w swoim życiu prywatnym banalny i prostacki. Przystaje być banalny, choć nie staje się demoniczny, z chwilą, gdy pojmuje, że czeka go zguba. Jego środki ratunku są specyficzne, rodzą się w atmosferze raczej Wallace'a, niż Dostojewskiego. Wybiera zbrodnię. Analogia z Raskolnikowym jest nieistotna. Dostojewski starał się wykryć w Człowieku, pisał André Gide, jego cel wyższy i sekretny, który jest racją odmienną od tej, jaką sobie człowiek na codzień, na zewnątrz, zakreśla. Kanicki nie ma tego celu sekretnego, ma tylko rację zewnętrzną.

W zakresie tych racji zewnętrznych Kanicki natyka się ustawicznie na upokorzenia i stąd rodzi się w nim pycha. Jest zdraśnięty przez upokorzenie, ma chorobliwą miłość własną, objawiającą się w poczuciu niższości wobec świata Zamoyłły. Tak jak nie orientuje się, że ten świat jest już w rozpadzie, tak samo nie jest zdolny do walki o siebie. Jego broń jest chytry i podstęp. Amerykański poeta, Edgar Lee Masters, ogłosił w r. 1914 utwór „Spoon River Anthology“, pomyślany jako zbiór poematów, wypisanych na nagrobkach cmentarnych. Nagrobki są tam pretekstem, by z perspektywy śmierci tym dokładniej zważyć i ocenić żywoty zamknięte — jak np. żywot tego żołnierza, który zginął w wojnie stanów północnych i południowych, a którego nagrobek nosi lacedemoński napis Pro patria. Człowiek ten zaciągnął się do wojska, aby uniknąć kary więzienia za kradzież świń. W poezjach Kanickiego śmierć nie jest trybunałem, skąd się osądza życie, lecz samo życie jest oceniane jako możliwość śmierci, jest zakażone śmiercią. Kanicki mówi w poezji, że takie życie jest tylko wstępem do zniszczenia, do śmierci. Brzmi to jak ocena „wspólnego pokoju“, wyrok na elitę intelektualną, która swój udział w życiu chciałaby traktować nie jako udział we wspólnym trudzie, a w spożyciu, w gotowości poetów do dzielenia stołu z książętami w nagrodę za to, że są tak osobliwi.

Feasymizm Iwaszkiewicza znajduje nareszcie swoje podstawy w dziedzictwie psychicznym i biologicznym, nie w rydach, zaczerpniętych z wiary w jakąś anonimową tragiczność istnienia ludzkiego. Śmierć Zamoyłły jest śmiercią warstwy historycznej, jest upadkiem tych, którzy wyczerpali swą energię psychiczną i społeczną. Akord to bardzo mocny i bardzo ważny w dyskusji o składnikach polskiego wewnętrznego życia narodowego. Niechęć społeczna do warstw historycznych w Polsce nie dotyczy tylko ich grzechów, które mogą być jeszcze przez całe stulecie przedmiotem nieprzesądzonych sporów. Dotyczy przede wszystkim faktu, że są one zrujnowane i wyczerpane. Życie opiera się na energii społecznej, która tworzy historię. Jeżeli energii zabraknie w warstwach kierujących, muszą one być zluzowane, zwolnione od odpowiedzialności. Inaczej następuje prawdziwy upadek Rzymu. Już nie katastrofa warstwy, lecz katastrofa całej społeczności, katastrofa cywilizacji. Katastrofa świata Zamoyłły i słabość wewnętrzna atmosfery Kanickich napawa Iwaszkiewicza pesymizmem, lecz zarazem stawia w powieści problem następców. Tymi następcami stają się w finale „Pasji“ Otto Krobowski i Ledia Karbowakówna; odnowiona, niby nowoczesna inteligencja i wzbogacony chłop jako źródło nowej siły. Energia pieniądza, składanego w poń-

czosze ma się wzmocnić sojuszem z energią ludzi takich jak Otto. Otto wyznaje kult siły fizycznej i kult trzeźwości, co nie przeszkadza mu wspominać — zresztą niewyraźnie, co stanowi jego słabość artystyczną — o potrzebie idealizmu. Złożył natomiast Otto niezaprzeczone świadectwo swego poczucia rzeczywistości, gdy przeciwstawił się grotesce przedstawienia Męki Pańskiej siłami miejscowymi wiejskich amatorów, rozreklamowanego jako polskie widowisko pasyjne na kształt Oberammergau. Ta finansowa wampuka obnażyła niesamородność kultury ludowej tam, gdzie spotyka się ona z szerszym światem. Obnażyła sentymentalizm nadziei na odnowienie cywilizacji przez źródła kultury ludowej i zdemaskowała ruchliwość, niezręczną w sposób wyjątkowy, aferzystów. Aferzyści są zwykle bardziej zgrabni i dlatego nieuchwytni. Dlatego mogą w społeczeństwie odgrywać często rolę impresariów w interesach o wiele bardziej doniosłych niż pasje w Biedomierzu. Jeden Mostowicz miał literacki zmysł dla tych niepięknych spraw. Gdy chodzi o świat aferzystów, „Kariera Nikodema Dyzmy” jest niedościgniona, choć ten pamflet ogranicza jej działanie w czasie i w kręgu osób. Pewne kategorie aferzystów tych zwłaszcza więcej skomplikowanych, których terenem działalności jest świat t. zw. ideologii, pozostają poza kręgiem odurzającego światła, jakie rzuca ta znakomita powieść.

Trudno mówić o perspektywach zakończenia „Pasji” — potroszę dlatego, że Otton nie jest w tym samym stopniu typem społecznym, co Zamoyło, czy nawet Łodźni. Jest niedorysowany. Trzeźwość i kult siły fizycznej nie wyczerpywały o. b.razu psychicznego pokolenia, do którego go należało by Ottona zaliczyć. W pokoleniu inteligencji, do którego Otton się zalicza, dwa zasadnicze istniały konflikty: z jednej strony konflikt wyobraźni i konflikt synkretycznej rzeczywistości, z drugiej — konflikt na tle tradycji, konflikt między postawą Połanieckiego a postawą Przełęckiego. W pewnym sensie linie tych konfliktów się pokrywały i stapiały się w jedno zasadnicze przeciwstawienie, ale to tylko w prawie wielkich liczb, w kategoriach statystyki. Te kategorie są może i dobre w socjologii. Ale w rozważaniach o świadomości kulturalnej należy indywidualizować. Ottona te konflikty nie obchodziły, bodaj, że do niego nigdy nie docierały. Zawierał natomiast małżeństwo, do którego doprowadziła równie miłość, jak rozsądek. To świetna reasekuracja, gdy o los stała małżeńska idzie. Gdy chodzi o następstwo społeczne, czy istotnie od tego weseła zacząć się dzieje nowej elity? Wątpię, może dlatego, że gdyby to była kwestia głosowania, głosowałbym przeciw Ottonowi i Łodzi. Zławsza przeciw Ottonowi, mimo jego niewątpliwie trzeźwości, która budzi sympatię dla tego młodego człowieka.

Niewątpliwie, Iwaszkiewicz jest świetnym pisarzem i to stanowi jego właściwy zakres kompetencji. Można o nim powiedzieć, że jest pisarzem europejskim, i że jego sztuka jest narodowa. Będą tacy, którzy go zechcą odrzucić za karę za jego pesymizm. Byłoby to słuszne, gdyby pesymizm Iwaszkiewicza nie był ugruntowany tak głęboko. Ze Iwaszkiewicz w śmierci Zamoyły nie widzi powodu do otuchy, winno być uszanowane i przez tych, którzy swe zadanie życiowe widzą w likwidacji całego zespołu wartości, których Zamoyło był przedstawicielem.

Artystyczny świat autora „Pasji” nie jest w każdym razie z piany mydlanej. Ma swoją autentyczność, która w polskiej literaturze zajmie trwałe i wysokie miejsce.

Włodzimierz Pietrzak

Autorów i wydawców, którzy pragną aby ich książki były omawiane w „Dziś i jutro”, prosimy o nadstanie do Redakcji po 2 egzemplarze recenzyjne.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

St. G., Warszawa. Rysunek techniczny (winien być zrobiony tuszem na brystolu) nie odpowiada wymaganiom. Dwa nie nowy, już raz wykorzystany. Chętnie ujrzelibyśmy coś nowego.

„Czytelnik”, Staszów. Uwagi słuszne, będziemy się starać do nich zastosować. Firma wyd. E. Kulhana: Warszawa, Plac Trzech Krzyży. Powieści J. Dobraczyńskiego wydaje „Czytelnik” (Warszawa, Wiejska 14). Pierwsza z nich, „W rozwalonym domu”, ma się ukazać w połowie maja.

Kronika kulturalno-naukowa

Berliński dygnitarz państwowy „Ministerpräsident” dr. Geller umieścił niedawno w chrześcijańsko-demokratycznej gazecie „Neue Zeit” takie zdanie: „Naród niemiecki potrzebuje dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek przedtem nauki. Krwawi on z tyłu ran, że jego regeneracja nastąpić może tylko dzięki pierwiastkowi duchowemu — intelektualnemu. Do tego jednak konieczna jest dlań wolna i świadoma swej odpowiedzialności nauka”. Tak pisze człowiek, którego naród leży rozłożony na dwie łopatki, człowieka, który dzięki specyficznej koniunkturze, w jakiej się Niemcy znaleźli, ma możliwość wypowiedzieć swe myśli publicznie. Przypomnijmy sobie, jak było w tym okresie u nas. Ktokolwiek brał udział w tajnym nauczaniu na wyższych uczelniach podczas ciemnych lat okupacji, pamięta, w jakich warunkach pracowało się u nas ze studentami. O ile Niemcy mają już poukazywaną ilość otwartych uniwersytetów, gdy profesorowie wrócili do swych warsztatów pracy i skupiają młodzież w wdrażaniu do systematycznej laboratoryjnej pracy, o tyle jak wyglądała u nas nauka podczas okupacji? Pamiętamy aż nadto te chwile, kiedy profesor był zmuszony kraść (dosłownie!) ze swego byłego seminarium, (które było „zabezpieczone” przez Niemców) książki i pomoce naukowe, by dać pewien tylko niewielki zresztą substrat poważnej pracy dla swych studentów, brakowało bowiem podstawowych podręczników i podstawowych pomocy naukowych. Dziś, gdy czytamy w prasie o otwarciu nowych uniwersytetów w Jenie i Berlinie, gdy na takim Pomorzcu Zaodrzańskim czynne są już dwa uniwersytety, a mianowicie w Gryfii i Rostoku, gdzie młodzież ma możliwość zabrać się solidnie do studiów naukowych, a nie improwizować, tak jak to nieraz z braku warunków byliśmy my zmuszeni w czasie okupacji, to zdamy sobie dopiero sprawę, jaką krzywdę wyrządził naszej kulturze i narodowi okupant. To też nie dziwnego, że jedną z naczelnych trosk ludzi, którzy są odpowiedzialni za stan naszej kultury i którym nie obcy jest los nauki polskiej, jest dążenie usilne do przebudowy życia naukowego w Polsce i oparcia go na nowych podstawach. Nie znaczy to bynajmniej, by w czambuł potępić to wszystko, cośmy dotąd stworzyli w ramach organizacyjnych przed wrześniem 1939 roku. Nie o to chodzi. Chodzi o zdobycie szerszej platformy naukowej, chodzi, by nauka polska nie zamykała się tylko w swych laboratoriach, gabinetach, bibliotekach czy muzeach, lecz żeby stała się jedną z najbardziej impulsywnych czynników w naszym życiu zbiorowym.

Nauka ma bowiem kształtować rzeczywistość dnia codziennego, tak jak kształtują ją inne dziedziny życia. Odzwierciedleniem tych poglądów, tych dążeń świata naukowego jest przede wszystkim miesięcznik „Życie Nauki”, w którym szereg wybitnych uczonych wypowiedziało się za planową organizacją powojenną polskiego życia naukowego w skali europejskiej. Wyraz tym dążnościom dał wreszcie prof. Antoniewicz w artykule p. t. „Potrzeby i organizacja nauki w Polsce”, pomieszczonym w miesięczniku „Nauka i Sztuka”. Wyżej wymieniony autor stwierdza, że nauka jest „dalej prawdziwym kopciuszkiem, spychanym wciąż na peryferie innych zagadnień życia państwowego i międzynarodowego. I w tym fakcie tkwi wielkie nieporozumienie, które wyjąć już najwyższa pora”.

Autor wysuwa takie tezy na końcu wyżej wymienionego artykułu:

- 1) Nauka jest jedną z najważniejszych funkcji życia narodowego i państwowego;
- 2) Bez pieczołowitej uprawy nauki nie ma mowy o rozwoju i znaczeniu narodu i państwa;
- 3) Nauka, choć drogo kosztuje, zawsze się opłaca, gdyż daje walory, które decydują o istotnej sile, wartości i dobrobycie narodu i państwa;
- 4) Nauka, aby być twórczą i móc się rozwijać, musi mieć minimalne warunki egzystencji, do których należą: wolność sumienia i swoboda pracy, nieodzowne biblioteki i laboratoria, środki finansowe na badania pracowniane i terenowe, łatwość prowadzenia studiów w kraju i zagranicą, spokój w pracy i możliwość koncentracji, swoboda wyboru i łatwość publikowania rezultatów badawczych, nieprzekładanie w tworzeniu szkół naukowych przez danych badawców w danym środowisku, ułatwienie rozwoju Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa naukowych, popieranie prac instytutów badawczych w zespalaniu ich działalnośći z pokrewnymi zakładami Szkół Akademickich, znośne warunki bytu poszczególnych uczonych i zwolnienie ich od konieczności pobocznych zarobków;
- 5) Nauka w Polsce musi się cieszyć autorytetem jej należnym, a jedną z dróg do tego celu — to stworzenie odgrywającego większą rolę niż Wydział Nauki, ośrodka koncentracji spraw nauki i potrzebnych do jej rozwoju środków finansowych, jako Podsekretariatu Stanu w Ministerstwie Oświaty lub Prezydium Rady Ministrów;
- 6) Planowanie w zakresie nauki musi się opierać na zdrowej i odpowiedzialnej opinii wszystkich środowisk naukowych w ramach rękulowej i pełnej inicjatywy Państw. Rady Naukowej;
- 7) Przyszłość nauki polskiej łączy się z koniecznością szybkiej odbudowy oświaty nauki, wydobycie nauki, przy pomocy środków rozporządzanych przez Państwo, z szerokich warstw naszego narodu”.

Tak wyglądają tezy uczonego, które w grubszych zarysach, bez wdawania się w szczegóły, reprezentują opinię polskiego świata nauki bez różnicy przekonań politycznych i ideowych. Cechuje te tezy głęboka troska o przyszłość naszej kultury i nie będzie przesadą, że nią przewodnią tych myśli jest chęć wywyższenia nauki z tych dołów, w jakich się znalazła dzięki zawieszce wojennej i świadomym akcjom niszczycielskim okupanta. Ktokolwiek miał możliwość spotkać się z uczonymi innych narodów europejskich, którzy byli pod okupacją niemiecką, to stwierdzi, że bolączki i dezyderaty są pokrewne. Zdziwiająca jest tylko wypowiedź nauki niemieckiej, którą cytowaliśmy wyżej. W tych kilku zdaniach bije ta sama nuta, nuta tym groźniejsza, że za nią tkwi coś więcej, jak tylko odrodzenie kultury niemieckiej. I tu leży nowy problem przed nami; byśmy tym razem wyścig o budowanie nowych wartości wcześniej zrealizowali od Niemców, którzy takie same mają ambicje, choć leżą na dnie upadku. Widomym tego znakiem będzie brak artykułów o potrzebie podniesienia wagi i roli nauki w nowoczesnym społeczeństwie w polskiej prasie periodycznej, tym zagadnieniem poświęconej.

J. Ant.

NOWE KSIĄŻKI

Aleksander Rogalski — „Przybyszewski Filozof-Moralista”. Poznań, 1946.

Dziwny musi się wydawać tytuł tej broszury ludziom, którzy powierzchownie podchodzą do życia i literatury, pamiętają Przybyszewskiego jako „demoralizatora”, który nie wahał się dla celów czystej, niezależnej sztuki odrzucić uświęcone kanony, uświęcone pojęcia dobra i zła, oraz głosić, że najważniejszym czynnikiem w życiu człowieka jest instynkt „chuci”. A przecież jak słusznie powiedział jeden z naszych historyków literatury, „Przybyszewski jak wicher przeszedł przez literaturę polską: palił, niszczył, ale oczyścił w swoim czasie powietrze i rzucił mnóstwo kielków zapładniających”.

Opierając się na analizie utworów Przybyszewskiego, popartej licznymi cytacjami, Rogalski rzeczowo wykazuje, że Przybyszewski był bardziej filozofem niż artystą, że „wnikanie myśli we wszystkie zagadki życia” było jego najistotniejszą potrzebą duchową. Powieści Przybyszewskiego, obfitujące w monologi o charakterze analitycznym, nazywa Rogalski rodzajem eksperymentu intelektualistycznego, zdradzającego przede wszystkim filozofa — moralistę, a później dopiero artystę. O skłonności Przybyszewskiego do świadomej refleksji świadczy między innymi fakt, że szczyt swoich możliwości artystycznych osiągnął on w dramatach, gdzie ujmował przeżycia duchowe „pod przemożnym moralnym kątem widzenia”. Rogalski podkreśla skłonność Przybyszewskiego do metafizyki, wyrażającą się

w adoracji uczucia, które też stanowi dla jego bohaterów jedyne kryterium moralne, nie chroniąc ich jednak przed tragizmem życia opartego na fatalnej żądzy. W niektórych tylko utworach etyka Przybyszewskiego zdobywa się na akcenty humanistyczne i chrześcijańskie. Przybyszewski podlega bowiem procesowi moralnemu, który prowadzi go — zresztą nie na długo i nicistotnie — do religijnych podstaw prawa moralnego, lub objawienia tych podstaw w osobistym samopoznaniu. („Synowie ziemi”). Chcąc dać pełny obraz etyki Przybyszewskiego, Rogalski przedstawia go jeszcze jako witalistę, dla którego ekstaza, namiętność, zmysłowość, rozpacz, ból są niezbędnymi atrybutami życia. One to każą mu nieraz przekładać zło nad dobro. Stąd też wdług Rogalskiego w twórczości Przybyszewskiego tyle niezdrowej, niesamowitej atmosfery. — „Pragnęłam rozkiełznać człowieka, ujrzeć go nagim”.

Omawiając na zakończenie kulturalno-społeczne poglądy Przybyszewskiego, Rogalski przytoczył ciekawą cytację, w której Przybyszewski „dla typowo romantycznych wartości wynosi ponad wszystkie inne naród polski”. — „Obrzymią nadwartością etyczną poświęceniem, zaprzaniem siebie, ofiarą bez granic, całą tą podniosłą niezmierną sferą czynów, „gdzie można ginąć, lecz się nie umiera”, zdołał się ocalić naród polski ze strasznego potopu — tworzeniem nadwartości życiowych w sztuce postawił się na tej wyżynie, o jakiej marzył Mickiewicz, gdy chciał Polskę cały świat zadziwić”.

Na marginesie wywodów Rogalskiego o braku zainteresowania się Przybyszewskiego formami życia społecznego, pragnę przypomnieć słowa pisarza, które jednak nie straciły nic ze swej aktualności: „Sztuka jest odtworzeniem życia duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie lub piękne... Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczności... Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka — rozrywka, sztuka — patriotyzm, sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny przestaje być sztuką, a staje się „biblią pauperum” dla ludzi, którzy nie umieją myśleć, lub są zbyt mało wykształceni, by móc przecztać odnośne podręczniki, a dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni, a nie sztuka... Dla ludu chleba potrzeba, nie sztuki, a jak będzie miał chleb, to sam sobie drogę znajdzie”.

Praca Aleksandra Rogalskiego, pełna wnikliwości, jest pozycją dodatnią. Sympatycy jest to, że zajął się on pisarzem walczącym z materialistycznym poglądem na świat, pisarzem, który „zabijał jak meteor” i zbyt może szybko jako myśliciel zgasł.

Wanda B.

Niedługo ukażą się „WIERSE ZEBRANE” K. I. Gałczyńskiego

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

BANKI W ROSJI SOWIECKIEJ

Przed rewolucją system bankowy w Rosji Sowieckiej był analogiczny do systemów innych państw kapitalistycznych. W czasie rewolucji proces nacjonalizacji postępował stopniowo. 7 listopada 1917 r. wprowadzono nadzór robotników nad bankami. 20 listopada władze rewolucyjne były zmuszone do objęcia przy użyciu siły banku emisyjnego, ponieważ ówczesny zarząd banku nie chciał wykonywać rozporządzeń nowego rządu. Dekretem z 3 grudnia 1917 r. zarządzone zamknięcie banków rolniczych: Szlacheckiego i Włościańskiego. Wreszcie dekret z 27 grudnia 1917 r. a więc w 1 i pół miesiąca po wybuchu rewolucji zlikwidował prawie całkowicie dotychczasowy system bankowy. Dekret powyższy był oparty na następujących zasadach: 1) banki stają się monopolem państwa, 2) wszystkie banki, spółki akcyjne i domy bankowe zostają połączone z bankiem państwa, 3) płynne aktywa i pasywa przejmują bank państwa, 4) interesy drobnych ciutaczy będą nienaruszone. Uzupełnieniem powyższego dekretu był dekret z 26 stycznia 1918 r., który postanawiał konfiskatę kapitałów banków prywatnych i anonimowych spółek akcyjnych. Na mocy tego dekretu wszystkie akcje zostały umorzone i nałożono obowiązek złożenia ich w oddziałach banku państwa. Ostatnim aktem w dziele likwidacji dawnej bankowości był dekret z 24 grudnia 1918 r. postanawiający likwidację prywatnych banków rolniczych. Z dawnych banków pozostawiono tylko Powszechny Bank Spółdzielczy, którego klientela składała się z spółdzielni spożywców, spółdzielni rolniczych i kredytowych towarzystw spółdzielczych. Połączenie banków handlowych z bankiem państwa w jeden bank narodowy zostało zakończone w 1919 r.

W pierwszych latach po rewolucji wojna domowa nie pozwoliła na zorganizowanie aparatu bankowego dostosowanego do nowego ustroju gospodarczego. Chaos jaki wówczas panował, a w szczególności całkowita katastrofa walutowa, polegająca na repudiacji pieniądza spowodował likwidację banku narodowego jako instytucji niezależnej i potwierdzenie jej funkcji narodowemu komisariatowi finansów. Organizacja nowego systemu bankowego rozpoczęła się w 1921 r.

Pierwszym aktem na tej drodze było utworzenie banku państwa (Gosbank). W następnych latach system bankowy ulegał różnym zmianom. Dopiero reformę przeprowadzono w latach 1930—1931 polegającą przede wszystkim na rozdzielaniu kredytu krótkoterminowego od długoterminowego stworzyła zasadnicze zręby nowego systemu.

Obecny system bankowy oparty jest o następujące instytucje: 1) Gosbank, 2) 4 banki inwestycyjne, 3) kasy oszczędności.

Gosbank jest bankiem emisyjnym. Zadania tego banku są następujące: a) udziela kredytów krótkoterminowych całemu życiu gospodarczemu, b) przeprowadza obroty bezgotówkowe oraz rachunki pomiędzy organizacjami gospodarczymi i instytucjami, c) prowadzi całą kasowość państwa, d) przeprowadza rachunki z tytułu operacji handlowych i finansowych z zagranicą.

Kredyty krótkoterminowe są udzielane przez Gosbank na okres od 3—9 miesięcy. Zabezpieczeniem kredytów są przeważnie towary zarówno w składach jak i w czasie transportu. Wysokość kredytu dochodzi do 85 proc. wartości towaru. Kredyty mają charakter kredytów celowych oraz są włączone w ogólne i szczegółowe plany obejmujące zgodnie z zasadą gospodarki radzieckiej całe życie gospodarcze. Źródłem powyższych kredytów są kapitały własne, kapitały ulokowane na rachunkach bieżących oraz emisja biletów bankowych. Rozrachunki pomiędzy przedsiębiorstwami są dokonywane przy pomocy akceptów, akredytów i rozrachunków specjalnych. Gosbank przy przeprowadzeniu powyższych rozrachunków czuwa nie tylko nad terminowym wywiązywaniem się z zobowiązań, lecz również kontroluje wiązanie danej płatności z transakcją towarową. Gosbank posiada 4.000 oddziałów rozmieszczonych nie tylko w wielkich miastach, lecz również w odległych miasteczkach.

Działalność emisyjna Gosbanku ma specyficzny charakter z uwagi na to, że jak słusznie w jednym z naszych czasopism gospodarczych zauważono pieniądź w Rosji Sowieckiej jest wyłącznie „pieniądziem płać”. W związku z tym „obieg znaków pieniężnych może być dopuszczony

ny w takiej wysokości, w jakiej wystarcza na zakupienie w odnośnym okresie całej ilości dóbr przeznaczonych w tymże okresie na konsumpcję. Wszelkie nadwyżki są wydręnowane z rynku w drodze oszczędności przymusowej (pożyczki państwowe) i dobrowolnej (kasy oszczędności).

Banki inwestycyjne są następujące: 1) Bank dla Przemysłu (Prombank), 2) Bank dla Handlu i Spółdzielni (Torgbank), 3) Bank Rolny (Selkhozbank), 4) Bank Komunalny (Tsekombank).

Banki powyższe posiadają również bardzo liczne oddziały. Podlegają narodowemu komisariatowi finansów. Udzielają w zasadzie tylko pożyczki średnioterminowe i długoterminowe, na budowę fabryk, siłosów, linii kolejowych, dróg, domów mieszkalnych itp. Otwierając również kredyty do 5 lat z zreszczeniem rzeźmiślniczym. Bank rolny uruchamia kredyty od 1—12 lat dla sfinansowania melioracji, budowy małych central elektryfikacyjnych, kupna narzędzi, maszyn rolniczych, materiału budowlanego itp. Kapitały na powyższe kredyty uzyskują banki z dotacji budżetowych skarbu i z funduszy inwestycyjnych i amortyzacyjnych lokowanych przez przedsiębior-

stwa w wymienionych bankach, a pochodzących z zysków tychże przedsiębiorstw. Z powyższą akcją kredytową związana jest bardzo silna kontrola kredytowanych przedsiębiorstw. Banki kontrolują koszty, przedkładane do realizacji rachunki oraz sprawdzają „racjonalność i ekonomiczność wykonywania robót”.

Kasy oszczędności utrzymują depozyty świata pracy. Przed wojną t. zn. na początku 1941 r. było w Rosji Sowieckiej 41.000 kas oszczędności liczących 16.800.000 deponentów. Suma depozytów wynosiła 7 miliardów rubli. Aktywnej działalności w sensie udzielania kredytów kasy oszczędności nie prowadzi.

Z systemem bankowym Rosji Sowieckiej winni nasi fachowcy dokładnie zapoznać się. Wydaje się bowiem, że w okresie wprowadzania gospodarki planowej należałoby wykorzystać wiele doświadczeń naszego wschodniego sąsiada również na odcinku finansowym. Oczywiście nie byłoby wskazane niewolnicze naśladownictwo z uwagi na zasadnicze różnice zachodzące między ustrojem gospodarczym Rosji Sowieckiej a formującym się ustrojem Polski.

P. T.

Zakurzony reportaż

Właściwie chciałem to nazwać nieco inaczej: list z Warszawy. Pomyślałem sobie jednak, że J. W. W. który nadsyła takie listy z Krakowa, mógłby mi to mieć za złe. Skądinąd jest to mój przyjaciel od serca i kiedy niedawno otrzymałem od niego kilka miłych słów, skreślonych na kartce papieru, przyszła mi do głowy pewna myśl.

Jak wiesz, mój drogi J. W. W., nie miałem nigdy węża w kieszeni. Tym razem jednak postanowiłem odpowiedzieć ci w sposób oszczędny. Oszczędny — bo nie szcędząc słów, oszczędzę na portu pocztowym, ba, nawet więcej, parę groszy sobie zarobię (tu red. Biełkowski zazgrzyta zębami i weźmie się do ostrzenia czerwonego ołówka).

Otóż, słowa te, jak cała Warszawa, nurzają się w kurzu. Pył z rozbitych domów zasypuje nasze miasto. Każdy przejeżdżający samochód, każdy podmuch wiatru wzbija tumany pyłu na przechodniów. Oczywiście, to jest najgorsze, że nie ma przed tym kurzem ucieczki. Niewiele

jest w Warszawie oaz czystego powietrza. Najważniejszą są chyba Łazienki. Byłem tam w ubiegłą niedzielę, by spełnić ukrytą tęsknotę zaharowanego mieszczucha — zobaczyć wiosnę. Ze jednak jestem niedowiarkiem, rozczarowanym do świata, bałem się, iż wiosny nie spotkam, więc też zabrałem ją ze sobą na wszelki wypadek. Nie była to naturalnie, Primavera Botticell'ego, ale taka sobie wiosna dla śmiertelników. Wysoka, czarne włosy, szaro-zielone oczy i inne, powabne szczegóły zostały przez naturę harmonijnie zestawione w udaną całość, którą mógłbym Ci zresztą bliżej opisać, ale stanowczo te szpalty nie są po temu.

Włóczyliśmy się po parku, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Niemcy nie darowali Łazienkom. Zjedli co było do zjedzenia — od karpi aż do łabędzi i spalili to, czego nie należało palić. Pałac jest już tylko wspomnieniem. Kamienne nimfy i satyry wyszły jako inwalidzi z tego konfliktu. Gdzie jesteś bajko z lat dziecińczych, o tych posagach z parku łazienkowskiego, które ożywają po pół-

noy? Dziś, satyry musiałyby chyba posiadać podania o przydział protez ze Szwecji, by zastąpić swe koźle kopytka, postradane w latach wojny.

Wielkie wrażenie robi teatr na Wypie. Wiesz naturalnie, że wybudowano go jako klasyczną ruinę. Chcąc jednak naprawić polskie partactwo i typową, słowiańską nieudolność, okupant zdemontował doprawdy wydatną metodą fabrykacji ruin i dziś, teatr przekracza stanowczo najśmielsze życzenia swych projektodawców.

Kiedy opuszczałem Łazienki z moją prywatną wiosną umówiliśmy się, że będziemy grać w zielone o t. zw. amerykański zakład. Gra w zielone w Warszawie, to mniej więcej to samo, co zabawa w chowanego na pustyni. Skąd wezmę zielone? Chyba powieszę na kółku mój romantyzm i będę nosił w kieszeni pietruszkę, czy inne ziele jakiego dostać na każdym straganie. Fi donc, powiedziałyby nasz wspólny przyjaciel Henryk, jakie to trywialne. No, ale powiedz sam, co robić w tym mieście bez zieleni?

Po południu — była to niedziela szaleństw, normalnie i w niedzielę orzę — poszedłem do kina. Ah, ile rozpaczy, ile nadludzkich zmagani kryje się za tym zdaniem. Bo trzeba Ci wiedzieć, że przy wchodzeniu do kin warszawskich obowiązuje ład rzeczy akurat odwrotny, niż przy wychodzeniu z tonącego statku. Przy ewakuacji tonącego okrętu kobiety i dzieci idą najpierw. Do kina zaś najpierw wchodzi mężczyźni w mundurach, potem kobiety w mundurach, potem kobiety bez mundurów, które towarzyszą mężczyznom w mundurach, oraz mężczyźni bez mundurów, którzy towarzyszą kobietom w mundurach. Zaraz za nimi pchają się posiadacze biletów wolnego wstępu, jak też ci, którzy mają bilety ze Związków Zawodowych. Za nimi dopiero szturmują kino z rozpaczą w oczach anonimowy tłum tych, którzy mają niezdrów nawyki kupowania biletów w kasie, po normalnych cenach. Dzieci nie widać wogóle chyba, że film jest niedozwolony dla młodzieży.

Jeśli chodzi o mnie, to na upartego mógłbym mieć bilety ze Związku Zawodowego, ale widzisz, jeżeli człowiek cały tydzień patrzy w swym miejscu pracy na pana Kuszpietowskiego czy pana Wypie, to chyba w niedzielę należy mi się urlop. A tu jak na złość, dla krzewienia instynktu stadnego, upycha się wszystkich z jednej instytucji koło siebie na widowni.

Cóż Ci jeszcze napisać? Jesteś pewnie ciekaw, co się u nas w Warszawie mówi o polityce? Przede wszystkim, o polityce się nie mówi a tylko szepce, zaś pozatem wydaje się, że z tą trzecią wojną to jednak nie prawda. Również pogłoski, jakoby miała nastąpić mobilizacja rocznika 1880, który będzie wcielony do Volksturm'u i wysłany gratis i franco przeciw Franco, nie znajdują jak dotąd potwierdzenia w dobrze poinformowanych kołach.

Spotkałem natomiast jednego znajomego z dawnych lat, który przyjechał był właśnie zdaleka. Walczył w kampanii francuskiej w słynnej polskiej II dywizji, a potem internowany, przeszedł do końca wojny w Szwajcarii. Usiłował mnie przekonać, że nasze przeżycia tu pod okupacją są niczym, w porównaniu z tymi straszliwymi emocjami jakie on tam przeżywał, kiedy zaistniały obawy, że Niemcy wejdą do tego kraju. Powiedziałem mu, że myśmy się tu obawiali w pewnych momentach, że Niemcy od nas nie wyjdą. Był zupełnie wyraźnie rozczulony wobec tej mojej lodowatej objętości na jego niedosze cierpienia. Rozstaliśmy się, jako wrogowie, — temat do rozmyślań między emigracją i tubylcami.

Ale muszę już kończyć. Powód pierwszy to, że redaktor może stracić cierpliwość wobec tak przydługiego listu. Powód drugi — Ty możesz stracić cierpliwość, ziewając nad tym reportażem (nazywam go reportażem, dla zamaskowania prawdziwych intencji, jakie powodowały mną w jego pisanie, a o których wspominam na początku). Powód trzeci — wygrałem w zielone. Idę zainkasować wygraną. Vae victis!

WILK.

PRZEPIS DOMOWY

Na wszelkie zmartwienia,
Na ból głowy,
Najlepiej pomaga
Kwiat lipowy.

Dostać go łatwo,
Kłopot mały.
U nas lipa kwitnie
Przez rok cały.

Eubulus

Poezje dla dzieci

Julian Przybóś: „Uwięziony w smoczku”, str. 46, nakładem Związku Opieki nad Matką i Dzieckiem.

Nareszcie, nareszcie. Nakładem Związku Kół Opieki nad Matką i Dzieckiem ukazała się książka dla dzieci pióra Juliana Przybósia p. t. „Uwięziony w smoczku”. Należy powitać z radością inicjatywę autora i wydawców. Dotychczas brakowało czystej (integralnej, jak mawiał przedwzornie umilkły poeta Brzechwowski) poezji dziecięcej. Nawiśnie realistyczna twórczość Brzechwy do niczego dobrego nie prowadzi — dziecko wyrasta i zauważono, że zgrozo, że już dorosły młodzieniec prowadzi z pasją czyta przygody Pehy Szachrajki. Zresztą gwałtowne przeskoki w lekturze od „Tańcowała igła z nitką” do „Miejsca na ziemi” przygotowują o bóle głowy i nudności, a jak niektórzy lekarze twierdzą występują charakterystyczne objawy małego jeszcze zbadanej choroby „complexivus avanguardae”. Szczęśliwie i w porę zło zaradzono. Odtąd już będą mogły troskliwe matki uodpornić swoje maleństwa, nucąc zamiast „był sobie król, był sobie paź i była też królowna”, znacznie prościej i bardziej obrazowo „król pomruk za borem” (str. 15), a sens jest właściwie ten sam.

W książeczce Przybósia uderza przede wszystkim doskonała znajomość psychiki dziecka w Polsce, mimo pozornych cech charakteru narodowego, objaw bardzo rzadki. We Francji był jeden i nazywał się Dada, ale i jemu już się zmarło.

Fabula książki bardzo prosta, mianowicie: wiewiórka i sześciu krasnoludków wędrują po lesie, spotykając mrówkojada, bociana i prawdopodobnie żabę. Rozmawiają, spotykają ich zabawne przygody, a wszystko się kończy ogólną ra-

dością i zabawą. Napisałem prawdopodobnie żabę, bo autor mówi „bryłę skaczącą po ziemi” (str. 21), zapytałem moją córeczkę, córeczka mówi „ziaba”, coprawda jednemu z moich kuzynów wydawało się, że to spętany koń, ale on się nie zna na poezji, ma już dryblas 26 lat, studiując rolnictwo, a jeszcze czyta Brzechwę. A co do wiewiórki i sześciu krasnoludków, to w najgorszym wypadku mogę przypuścić, że chodzi o jednego krasnoludka i sześć wiewiórek, lecz to są drobiazgi niewarte wzmianki w recenzji. W każdym razie w książce niewątpliwymi postaciami są bocian i mrówkojad. Ale cytujmy autora, na str. 28 mówi:

„długonogi
głową w niebo
trwa”.

Bewzględnie mowa o bocianie. Jeżeli chodzi o mrówkojada, to poeta dochodzi do doskonałości prostoty, używa mianowicie słowa niezastąpionego, gdyż mówi właśnie „mrówkojad” (str. 34).

Zresztą nie należy długo się rozwodzić, książkę należy przeczytać. Można ją dostać już w każdej księgarni, na dworcach też — w punktach opieki nad matką i dzieckiem. Kupcie, maleństwa wasze napewno się ucieszą.

P. s. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że J. Przybosiowi za książkę „Uwięziony w smoczku” została przyznana nagroda imienia Królowej Snieżki. Większość jury gwałtownie głosowała na kontrkandydata Brzechwę, ale dwóch delegatów Zw. Literatów łagodnie i długo tłumaczyło, że co awangarda to awangarda, a dzieciom też się przyda. Nareszcie zmęczone jury jednogłośnie przyznało nagrodę wyżej wymienionemu.

Szpak



LAJKONIK

GOŚCIOM „MOKOTOWSKIM”

— Co? Jeszcze nie wiesz? —
wciąż dziwi się Fischer,

po celi się wierci
i mruczy, że Churchill

i rote Armee
są winni, on — nie!

— Strażniku! — rzekł Greiser —
repetę podaj-że!

Nim skrócą mi głowę,
niech zjem jarzynowej.

W NORYMBERDZE

— W melancholii utoniesz —
rzekł raz Goering do Hessa.
— Co ma wisieć nie tonie —
Hess Goeringa pociesza.

Z FRONTU ODBUDOWY

(Fragment przemówienia).

...niech przykład wam daje wysiłku
wspólnego
most obywatela Poniatowskiego!
Niech was natchnie, podciągnie, wyżej,
dalej!
Na jego cześć okrzyk! Ale niegłośno, bo
przeszło się może zaważyć.

August



W tramwaju: — Jaki najskuteczniejszy środek widzi pan radca na podniesienie stanu ludności?

— Rozwody. Możliwość częstszego żenienia się wpłynie niewątpliwie na wzrost liczby narodzin.



Między linotypistami:

— Co to jest semantyzm?

— Opuść to, i tak nikt nie zrozumie.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Biełkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne. Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 50 złotych. Kwartalna 150 złotych.

Złożono w Zakł. C. i. „Dziwnia” Widok 1 B 07170.

Celito w Drukarni „Ciepła” Nr 2, Marszałkowska 3